***O tym jak Cesarstwo Styrii od niewątpliwej klęski zostało odratowane i o tym co z tego wyniknęło.***
***Historia spisana przez Abla al Salifa, chanackiego wojownika i maga, wiernego obrońcę wiary.***

*4 dzień Lammas*

*O tym, że w przyszłości będziemy tworzyć drużynę nie mogłem wtedy wiedzieć, bo i nie wiele na to wskazywało. Promienie słońca niechętnie oświetlały strzechę zajazdu Villsvin. Pomimo późnej pory i okolicy niezachęcającej do dłuższego pobytu hobbitka Sara nie mogła narzekać na brak klientów. Jeden z nich, kapłan Shamaroth właśnie wesoło rozpijał Borysa, człowieka o dość niewiadomej przeszłości i Riga- zręcznego najemnika. W kącie mag Varthanis obserwował zebranych robiąc dyskretne notatki. Alchemiczka Mona kręciła się w pobliżu kontuaru czekając na upragniony wrzątek i obserwowała Hattima, rosłego wojownika z mojej ojczyzny. Wtedy na salę wtoczyła się wesoło pobliska arystokracja w osobie księcia Kamieńca, wicehrabiego Silberbergu Feina oraz krewnego margrabiego Kłodzka Thorka. Zaczęło się podobno spokojnie, ale kto ich tam wie! Starczy powiedzieć, że dwa słowa zamieniły karczmę na małe pole bitwy. Wiele zresztą nie pamiętam z tamtego momentu, może dlatego, że musiałem na chwilę opuścić zgromadzenie. W międzyczasie usłyszałem huk i to on zachęcił mnie do powrotu do środka. Po powrocie widziałem żołnierza w cesarskich barwach, z samopałem w ręku, próbującego uspokoić całe towarzystwo. W międzyczasie dojrzałem potężnej budowy księcia Kamieńca wstającego z ziemi, panicza na Kłodzku stojącego pod ścianą, a wicehrabiego Silberberg jakoś nie widziałem. Dostrzegłem go po chwili siedzącego za stołem razem z jego towarzyszami. A byli to: sławna bardka Mija Pendragon oraz młodzieniec Rien Environment ponoć znany szermierz. Grupka mała i niezbyt rzucająca się w oczy z łatwością wybrnęła ze zbiegowiska jakie powstało. Wtedy do karczmy wszedł cesarski żołnierz, a ja przez ostrożność cofnąłem się o krok w cień. Podszedł on do słupa i zaczął przybijać ogłoszenia. Pierwsze z nich głosiło o turnieju jaki miał mieć miejsce za 6 dni, 10 dnia Lammas. Drugie natomiast sprawiło, że głosy w karczmie podniosły się o dwa tony wyżej. Było to wezwanie wszystkich Styryjczyków do wstąpienia do Straży Pogranicza. Nie będę tutaj pisał o osobistym uczuciu jakim pałam do oddziałów Cesarstwa i odwrotnie, ale obietnica żołdu i sławy zrobiła wielkie wrażenie na zgromadzonych w karczmie. Mnie natomiast zainteresowało trzecie ogłoszenie mówiące o pewnym zleceniu, którego szczegóły mieliśmy poznać na zamku Silberberg. I tym sposobem miałem już jakieś bardziej lub mniej jasne plany na przyszłość i następne kilka dni. Po chwili na słupie cichcem zawisła czwarta kartka będąca harmonogramem wart. Mnie przypadło czuwać razem ze wspomnianym Rigo i Illimą, dziwnym wojownikiem walczącym dwoma prostymi mieczami. Wyszedłem przed karczmę. Skąpe światło księżyca oświetlało dziedziniec zajazdu. Wtedy to zauważyłem pewien ruch w dole.*
*-Puszczaj mnie, nie pójdę.-krzyczała niewysoka postać szamocąc się.*
*-Nie puszczę cię dobrze o tym wiesz.-odpowiedział jeden z dwóch prowadzących więźnia. Chrząknąłem na co drugi obrócił głowę. Był to zalany Rigo.*
*-O witaj panie, ładna dziś noc.-zagaił. W międzyczasie drugi z nich zwany Borysem prowadził niewysoką postać dalej ciemną drogą.*
*-Istotnie ładna, coś się stało?-zapytałem.*
*-A nic w sumie.*
*-Jednak za nic prowadzicie tego człowieka jak więźnia-wskazałem głową kierunek, z którego dobiegały głosy.-A sądząc po ilości osób znajdujących się tam to chyba nie będzie przyjacielska rozmowa.*
*-Ten kmiotek obraził pasowanego rycerza Styrii. Nie ujdzie mu to na sucho.-najemnik ostatnie słowa wymówił z dużym naciskiem.*
*-I niby za coś takiego-wpatrywałem sie w gwiazdy na południu-chcecie go zabić? Chętnie*

*uścisnąłbym dłoń temu "kmiotkowi".*
*-Nie rozumiesz mnie chyba panie. On obraził osobę pasowaną, wyższą w hierarchii, a ty stajesz w jego obronie?-zaśmiał się.-Kim ty w ogóle jesteś "wybawco"?*
*-Nie twój interes.-warknąłem luzując saberę, aby łatwiej wyszła.*
*-Wchodzisz w mój interes, a więc narażasz mi się, oj narażasz.*
*W tym momencie na końcu ciemnej drogi zrobiło się zamieszanie.*
*-Łapać go!-krzyknął ktoś głosem zalanym jak świnia.*
*-Nie właź pod nogi.-uśmiechnął sie Rigo i przygotował do złapania więźnia.*
*-Chyba kpisz-odpowiedziałem wyjmując broń. Następne kilka sekund minęło błyskawicznie. Niska postać zbliżała się, a Rigo próbował zastąpić jej drogę. Jednym skokiem znalazłem sie między nimi i pozwoliłem więźniowi uciec.*
*-Co ty zrobiłeś-ryczał-teraz muszę go gonić.*
*-Nic nie musisz-uśmiechnąłem się tnąc po brzuchu. Ciemna krew trysnęła na ziemię ochlapując przy okazji mnie i rośliny.*
*-Pomocy, ranił mnie, ranił gnój jeden-najemnik próbował zatamować krwotok.*
*-Zamknij pysk, albo zginiesz zanim zdążą sprowadzić pomoc.-warknąłem robiąc miejsce dla nadbiegającego towarzystwa. Wbrew moim wcześniejszym przekonaniom było ich tylko dwóch. Jeden z nich to był Borys, którego miałem okazję poznać wcześniej, a drugi to ów rycerz pasowany.*
*-Zabierz go do karczmy, niech ktoś go opatrzy-powiedział szlachcic do kozaka. Kiedy ci się oddalili zapytał-Czemu zaatakowałeś jednego z moich ludzi?*
*-Bo ona chciał zaatakować bezbronnego, niewinnego człowieka.-co za tupet o coś takiego pytać.*
*-Nie niewinny, bo jedną już mam, ot chciał mnie zabić.-odrzekł- Tak więc?*
*-Winny jest sam ranny, bo nie poinformował mnie dokładnie. Powiedział, że obraził waść jedynie, a nie chciał zabić.*
*-No to prawda, jego błąd. Ale nie musiałeś od razu tak gwałtownie reagować.*
*-Jasne-pomyślałem-mogłem od razu uderzyć tak, że teraz wiatr rozwiewałby popiół.*
*-Prawda-odpowiedziałem-trochę zbyt gwałtownie.*
*-W takim razie proponuję się pogodzić i zapomnieć o tym przykrym incydencie.*
*Weszliśmy razem do karczmy i od ścianą zauważyłem rannego.*
*-To on, ludzie zabierzcie go, on chce mnie zabić.-krzyczał próbując podnieść miecz.*
*-Zostaw to-powiedziałem następując na ostrze-gdybym chciał to już byś nie żył. Przyszedłem się pogodzić. Dowiedziałem sie co się wydarzyło na prawdę i przyznaję, że mieliście podstawy do zabicia go. Ale co się stało...-powiedziałem wyciągając broń w kierunku leżącego. Ten uścisnął ją z uśmiechem i położył się z powrotem. Odszukałem później ową postać, więźnia, który uciekł.*
*-Jestem ci winny przysługę panie.-powiedział-jak cię zwą?*
*-Jesteś mi ją winien, a imie zachowam dla siebie.*
*Poszedłem do namiotu, pomodliłem się i poszedłem spać.*

*<u>5 dzień Lammas</u>*

*Bóg dał piękny poranek, w sam raz na początek przygody. Po zakończeniu wspólnego śniadania do karczmy przybył noszący się w zielonym uniformie żołnierz w towarzystwie innego, niższego zarówno wzrostem jak i szarżą. Zasiedli przy ławie pod ścianą karczmy i rozłożyli przed sobą papiery.*
*-Chętni do wstąpienia do Straży Pogranicza, zgłaszać się-zakrzyknął wyższy z nich.-Jestem komendantem tutejszej placówki i będziecie sprawować służbę pod moim dowództwem.*
*Wojak na pewno się przedstawił, lecz nie jestem w stanie przypomnieć sobie w tej chwili jego imienia. Pierwszy od stołu wstał Hodo, krępy silny osobnik, jak to krasnolud. Podszedł do komendanta, spojrzał na niego znacząco po czym wręczył mu list. Komendant chwilę się przypatrywał kawałkowi papieru po czym wziął go i zaczął czytać. W miarę czytania oczy komendanta robiły się coraz większe, ale zdawszy sobie z tego sprawę szybko przywrócił dawny wyraz twarzy.*

*-Rozumiem panie Hodo, możecie się czuć wcieleni do oddziału. Jednocześnie typuję twoją kandydaturę na chorążego tego oddziału, ale to potem-rzekł porucznik*
*-Tak jest-zasalutował krasnolud.*
*Następnie do stołu podeszło kilku najemników. Zadziwiał mnie fakt iż tak wielu najemników kręciło się w tak niebezpiecznej i mało opłacalnej okolicy.*
*Ten sam szablon powtórzył się jeszcze tylko raz.*
*-Oto list polecający-powiedziała kobieta, średniego wzrostu, młoda.*
*-Zobaczmy...-komendant nie krył swojej niechęci do tego typu instrukcji. Wziął od kobiety kawałek papieru, rozłożył go mierząc rozmówczynię wzrokiem. Po pierwszych kilku słowach wojak wyraźnie zbladł.-Taak, była Gwardzistka-komendant wybuchnął śmiechem nie zwracając uwagi na powagę sytuacji i swojej osoby.-No proszę proszę w stolicy nas nie chcą to przyjeżdżamy na rubież? No cóż-komendant spoważniał-nie pozostaje mi nic innego jak przyjąć to co mam. Imię?*
*-Yngvild.*
*-Profesja, zawód?*
*-Żołnierz-kobieta idealnie powstrzymywała nerwy.*
*-Witamy w Straży.*
*Drugim wyjątkiem był elf, osobnik baardzo dziwny nawet jak na tę rasę. Całej rozmowy nie przytoczę teraz, ale starczy powiedzieć, że nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego czym jest regularne wojsko i czego się od niego wymaga. Po otrzymaniu żołdu, a raczej jego części, rzucił go na stół i kazał porucznikowi nabyć nowe ubranie. A oni się dziwią, że ich państwo upada... Po zakończeniu naboru Komendant oświadczył gromkim głosem, że oddział ma być gotowy do wymarszu w południe. Dodał także, że jako żołnierze muszą być teraz gotowi na wezwanie przez 24 godziny na dobę i nie ma mowy o żadnym alkoholu. Ta ostatnia nowina bardzo zasmuciła ogól krasnoludów i co bardziej swawolnych ludzi. Ja w tym czasie dosiadłem się do wspomnianej wcześniej drużyny tj. wicehrabiego, bardki i szermierza powiększonej o Edrica, dziwnego jegomościa o pustej sakwie, Omusa, nie mniej dziwnego człowieka, którego jakbym już gdzieś kiedyś spotkał, wspomnianą alchemiczkę, teraz już z wrzątkiem, a ściślej mówiąc z herbatką z pokrzywy, półelfa o mianie Vilreth, nic niemówiącego wojownika, dziwnego elfa noszącego się na czarno z twarzą wiecznie zasłoniętą, Hattima, wspomnianego już chanysa, pokój jego duszy, Candice, biegłej psioniczki oraz mnie niżej podpisanego Abla al Salifa. Postanowiłem dołączyć do grupy z braku innych perspektyw, wszak wstąpienie do wrogiej armii nie wchodziło w grę. Tym sposobem nasza drużyna liczyła sobie jedenaście osób płci obojga. Dwunastą osobą został przewodnik, zwany przez nas Obieżyświatem. I to właśnie jego osoba spowodowała pewne... opóźnienie w wymarszu na zamek Silberberg. Bo musisz wiedzieć drogi czytelniku, że górujący nad okolicą zamek Silberberg od wieków zamieszkany był przez jeden i ten sam ród, do którego miana nie przywiązałem zbyt wielkiej wagi. I to właśnie tam chcieliśmy się udać w celu poznania szczegółów misji, a przepustką nijako do środka miał być obecny w drużynie wicehrabia. Jeszcze dość długo trwała kłótnia Obieżyświata z wicehrabią na temat zapłaty, więc zdążyłem wypić troche miejscowego piwa.*

**********

*W końcu ruszyliśmy w drogę. Nie przeszliśmy jednej mili kiedy złapał nas deszcz, ciężki, ulewny deszcz. Chwilę próbowaliśmy przeczekać pod drzewkiem, ale juz po chwili okazało sie to za mało dla całej grupy. Wtedy też Obieżyświat przypomniał sobie o "schronie przeciwdeszczowy". Nie myśląc wiele udaliśmy się tam z nadzieją, że to coś da. Po osiągnięciu celu padało nadal, ale w "schronie" byliśmy znacznie suchsi, a przynajmniej tak nam się zdawało. Dalsza część drogi minęła spokojnie, aż do podnóża zamku, kiedy wpadliśmy na grupkę snootlingów, chociaż ja bym ich raczej nazwał chochlikami. W każdym razie po chwili staliśmy pod drzwiami, gdzie powitała nas niezwykle miła i urodziwa służka.*
*-Kto idzie?-zapytała zdradzając swoim akcentem styryjskie pochodzenie*
*-Przyszedłem do mojego wuja-odpowiedział Fein wysuwając się na czoło drużyny.*

*-A tak, zapraszam-kobieta dygnęła i ruchem ręki wskazała wnętrze bramy.*
*Muszę przyznać, że ta twierdza była dość niepodobna do dziesiątek innych, które widywałem na swojej drodze. Lochy pewnie też były dużo obszerniejsze od tych które oglądałem nierzadko długo oglądałem. A różniła się tym, że nie tylko wyglądała na nie do zdobycia, ale istotnie takie oblężenie wymagałoby setek tysięcy żołnierzy. Może jednak Chanat zostawi w spokoju te ziemie, kiedy nasza broń przełamie obronę Cesarstwa na Południowych Wrotach. Przeszliśmy dziedzińcem dalej kierując się w stronę donjonu, minęliśmy gwardzistów, na widok których elf w czerni naciągnął kaptur mocniej na oczy. Mocno podejrzany typ z niego, będzie trzeba go zbadać. Do samej wieży nie doszliśmy, tylko skręciliśmy do komnaty w przejściu, gdzie czekał na nas hrabia Evryll.*
*-Witaj siostrzeńcze-zakrzyknął na wejściu.*
*-Witaj wuju-odpowiedział wicehrabia, po czym obaj rzucili się sobie w ramiona.*
*-A ci ludzie, kto to taki?*
*-Najemnicy, przyszli w odpowiedzi na ogłoszenie.*
*-Ach tak ogłoszenie, mój problem. Może napijecie się czegoś?*
*Wszyscy spojrzeli po sobie niepewnie, nikt nie chciał wystąpić przed szereg.*
*-Ja poproszę, jeśli łaska-rzekł Obieżyświat z głębi grupy. Za nim poszło kilka innych osób*
*-Wspaniale! Dziewko, obsłuż gości, ja w tym czasie zamienię, słuwko z siostrzeńcem.*
*Odeszli na bok, a w międzyczasie służka usługiwała. Sala w której sie znajdowaliśmy była dość obszerna, zawierała jedno palenisko i nawet kilka dużych okien.*
*-To w takim razie wszystko jasne?*
*-Tak wuju.*
*-W takim razie zapraszam na mury, przejdziemy się trochę.*
*Wyszliśmy z sali i skręciwszy w lewo wróciliśmy na drogę prowadzącą na donjon. Po chwili spacerowaliśmy już po grubych murach warowni Silberberg. Ech, jakie to piękne uczucie móc spojrzeć na te twierdze od drugiej strony. Zresztą, już niedługo, a Cesarstwo stanie otworem, to tylko kwestia czasu. Kiedy pokonaliśmy już dystans między dwoma basztami, hrabia w końcu postanowił przedstawić nam cel naszej misji.*
*-Jak wiecie zapewne, rejon Silberbergu jest bardzo bogaty w złoża srebra. Tak się składa, że tylko rejon Silberbergu ma dostęp do srebra, a Kamieniec i Kłodzko radzą sobie bez niego. Ta drobna przewaga od wieków pozwalała mojemu rodowi na utrzymanie głównej roli w tym rejonie-hrabia powiódł wzrokiem po grupce.-Jednakże od pewnego czasu sprawy przybrały zły, ba nawet i bardzo zły obrót, a mianowicie: w kopalniach srebra należących do mnie-hrabia położył wyraźny nacisk na ostatnie słowo-umierają ostatnio górnicy. I to nie jeden, dwóch, pięciu, ale całe kopalnie giną ot tak. Wasze zadanie polega na zbadaniu przyczyny i poinformowania mnie o niej. Obiecuje, że zostaniecie sowicie wynagrodzeni-po ostatnich słowach słuchacze znacznie się ożywili.*
*-Oczywiście wuju, zajmiemy się tym-obiecał Fein, chociaż nie wiedział nic na temat problemu.*
*-Och, oczywiście, nie wątpię w to mój drogi. Nie zechciałbś może po tym wszystkim... Tu rozmowa zeszła na tematy czysto rodzinne, co niezbyt mnie interesowało. Po chwili udaliśmy się z powrotem na dziedziniec i przed bramę. Służka odprowadziła nas aż do niej, ale szybko uciekła na widok stada chołoty, która się tam zebrała. Droga powrotna minęła bez żadnych problemów.*

**********

*Kiedy grupka wróciła do zajazdu był tam już oddział Straży. Siedzieli w karczmie i po ich zachowaniu nie wynikało nic ciekawego. Hodo Zibbo i Yngvild żywo dyskutowali na jakiś temat, kapłan Shamaroth i Borys pomimo zakazu cichutko popijali piwko, ot normalny oddział wojska. Wtem do karczmy wszedł komendant z porucznikiem u boku.*
*-Całość wstać!-wrzasnął komendant. Wszyscy posłusznie wstali, to znaczy wszyscy, którzy mieli ten obowiązek, aby na słowa cesarskiego oficera podnieść rzyć z ławki. Więc siedziałem dalej.*
*-Sława cesarzowi-zasalutował komendant.*
*-Sława-odpowiedział oddział.*
*-To było wasze pierwsze zadanie, słucham, oczekuję raportu.*

*Chorąży Hodo powstał.*
*-Udaliśmy się do wskazanego miejsca, przygotowaliśmy zasadzkę. Poszło nam całkiem sprawnie, ale..*
*-A gdzie jeńcy?-zniecierpliwił się komendant.*
*-No właśnie... jeńcy. Udało nam się wziąć dwóch do niewoli, ale ci popełnili samobójstwo.*
*-Co proszę?-oficer starał się ukryć swój gniew, ale nie był zbyt dobrym aktorem.-W jaki sposób?*
*-Mieli swoje noże, podcięli się.*
*-Czyli mam uwierzyć, że oddział Straży pogranicza w liczebności 15 osób nie zdołał przeszukać i rozbroić dwóch osób? Kpicie sobie ze mnie?*
*-Nie, ale...*
*-Milczeć, mam nadzieje, że udało wam się chociaż przejąć transport.*
*-Tak jest, mamy go tu.*
*-Pokazać!*
*-Tak jest.*
*Hodo i Rigo wstali od stołu po czym zbliżyli się do zawiniątka leżącego pod ścianą. Zawiniątko było spore i ciężkie sądząc po postawie wojaków. Podeszli do stołu i z brzękiem położyli pakunek. Rigo usiadł, a Hodo powoli rozpakował je.*
*-Dobrze, dobrze, starczy. Widzę, że wykonaliście chociaż część rozkazu. Ale część rozkazu to niespełnienie drugiej część, a więc niesubordynacja. Następny przejaw niesubordynacji zakończy się dla was dużo gorzej. Całość wstać!*
*Oddział wstał, czując się lekko sponiewierany słowami dowódcy.*
*-Chwała cesarzowi!*
*-Chwała!*
*Komendant i porucznik opuścili karczmę. Towarzystwo zajęło z powrotem miejsca i wróciło do swoich zajęć. Z zamyślenia wyrwał mnie Omus.*
*-Co sądzisz o tej sprawie?-domyśliłem się, że chodziło mu o nasze zlecenie.*
*-A co mam sądzić? Nie widziałem chorych, więc nie jestem w stanie nic powiedzieć.*
*-No właśnie wicehrabia ustala z Obieżyświatem stawkę za poprowadzenie do kopalni. Czyli mamy jakieś pół godziny.*
*Jak się później okazało, była to niewielka przesada. Wicehrabia targował się długo i uporczywie walczył o każdego grosza. Jak widać wicehrabia był wielkim skąpcem i takie zdanie mieliśmy o nim cały czas. Po utargowaniu niewysokiej stawki, oddziały wyruszył. Zeszliśmy w dół w małą dolinkę, a następnie schodkami zeszliśmy do wyschniętego koryta jakiegoś strumyka. Po wielodniowych deszczach, koryto to zaczęło na nowo nabierać wody, a na pewno zrobiło sie bardzo grząskie. Po krótkim acz wyczerpującym marszu dotarliśmy do rozwidlenia.*
*-Którędy Obieżyświecie?-zapytała Mija, bardka o czystym głosie.*
*-Właśnie się zastanawiam. Chyba prosto.*
*Tak więc grupka ruszyła dalej przed siebie. W międzyczasie zrównałem krok z Moną, alchemiczką. Uważałem, że na temat takiej epidemii ona będzie miała najszerszą wiedzę.*
*-Co sądzisz na ten temat? Masz już jakieś podejrzenia?*
*-Nie wiem nic i nie powiem dopóki nie zobaczę chorych. I w ogóle, przestańcie się mnie o to pytać, nie wiem, dopóki nie zobaczę chorych, rozumiecie?*
*Mona wyglądała na wyraźnie zdenerwowaną, dlatego postanowiłem zostawić ją w spokoju. Z racji, że po drodze rosło wiele krzaków malin, kolumna często sie zatrzymywała i rozrywała na mniejsze grupki. Szedłem właśnie między dwiema takimi grupkami, kiedy dołączył do mnie jegomość w kapturze.*
*-Witaj.*
*-Witam, jak leci?*
*-Dobrze, nie narzekam.-w tym momencie zauważyłem sztylet pod płaszczem tego elfa i domyśliłem się kim jest.*
*-Za to kim jesteś, możesz zginąć-zagadałem z grubej rury.*
*-Co proszę?*

*-Skrytobójstwo jest zakazane na terenie Cesarstwa.*
*-Ano tak. Ale jak do tej pory mnie nie złapano.*
*-To powodzenia.*
*W tym miejscu nasza rozmowa się zakończyła, bo przyspieszyłem lekko, żeby znaleźć się bliżej czoła pochodu. Doszliśmy do kolejnego rozwidlenia i tym razem skręciliśmy w prawo, a potem szybko przez niewielki strumyczek. Prostą drogą doszliśmy do kopalni. Przed wejściem stał jeden górnik, drugi leżał na kocu obok.*
*-Kto idzie?-zapytał robotnik.*
*-Ludzie przysłani przez hrabiego do zbadania dlaczego umierają górnicy.-odpowiedział Fein.*
*-A to dobrze trafiliście, możecie podejść bliżej-pozwolenie było całkiem na miejscu, bo u stóp górnika leżał duży, ciężki młot, a sam górnik wyglądał na takiego co doskonale umie się nim posługiwać.-Może piwa?*
*-O bardzo chętnie-Obieżyświat szybko wybił się przed szereg i przyjął kufel. Za nim uczynili to wicehrabia, Hattim i jeszcze kilka osób. Ja przezornie podziękowałam za napój i przyjrzałem sie ciału leżącemu na ziemi. Górnik wyglądał źle, co najmniej źle. Blady na twarzy, zakrzepła krew pokrywała szyję od uszu w dół. Poczułem po swojej prawej stronie Monę. Słychać było jej spokojny oddech i jakieś pomrukiwanie pod nosem. Obok wicehrabia, Rien i Mija przepytywali górnika.*
*-Kiedy to się zaczęło?-zapytał Fein.*
*-No tak, poczekajcie chwilę panie...tak z 6-8 dni temu-odpowiedział górnik.*
*-I co? Tak wszyscy na raz zachorowali?-dopytywał Rien.*
*-No niee, nie tak od razu. O ten tutaj na przykład zachorował dwa dni temu, a ja na przykład w ogóle nie zachorowałem.*
*-Właśnie widzimy-rzekł Obieżyświat, który właśnie skończył pić piwo-czy nie jest to zaraźliwe?*
*-Nie no ja tutaj siedzę cały czas, innych pochowałem...*
*-A gdzie leżą?-zapytałem wstając od zwłok.*
*-O, tam za zakrętem, przy lasku leżą.*
*-A kto zaopatruje kopalnie? Chyba ktoś wam dowozi jakieś jedzenie.*
*-A tak, raz na jakiś czas przyjeżdża kupiec i dowozi nam: piwo, jedzenie, koce, lampy, świece do lamp. Potem przyjeżdża inny kupiec i wywozi urobek, węgiel i srebro.*
*-A kiedy ostatnio był ten kupiec? Ten co przywozi wam żywność?-Mija trafiła na dobry wątek.*
*-No tak z cztery dni temu.*
*-A zwykle, jak często bywa ?-bardka nie dawała za wygraną.*
*-No tak średnio co tydzień.*
*-A nie wiesz może kiedy będzie znowu?-Rien przejął rolę bardki. W międzyczasie wicehrabia i Omus zdecydowali się podejść bliżej zwłok.*
*-Powinien być za dwa, trzy dni.*
*-Za długo-rzucił Fein-wuj domagał się jak najszybszych wyników.*
*-To możecie spróbować złapać go w jego domu mieszka gdzieś niedaleko.*
*-O, to jest dobra myśl! Słyszysz Obieżyświecie? Będziesz miał okazję znów zarobić.-rzekł Rien z uśmiechem na twarzy.*
*-Co? Co? Ktoś coś mówił o pieniądzach?-przewodnik jakby wybudził się z głębokiego snu.*
*-Mówię, że...*
*Szermierz nie zdążył skończyć swojej myśli, bo stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Spokojny do tej pory trup... ożył. W każdym razie, otworzył oczy, wstał i chwycił leżący obok młot. Na szczęście nie było mnie już wtedy przy nim, siedziałem z Omusem i Hattimem i dyskutowaliśmy nad dziwnością tej krainy.*
*-Olaf, Olaf uspokój się, to ja.-górnik próbował powstrzymać chorego werbalnie.-To ja, wszystko w porządku.*
*Ale Olaf nie chciał słuchać, tylko dalej usiłował trafić w członków naszej grupy wydając przy tym niewyjaśnione jęki. Część z nas, ci co stali bliżej środka koła, wyciągnęła broń i była gotowa do obrony przed wielkim obuchem.*
*-Olaf, uspokój się-górnik nie dawał za wygraną.*

*-Zdaje się, że to na nic-przemówił Vilreth. Była to pierwsza okazja, żeby usłyszeć jego głos. Wtedy, jak na komendę Olaf-zombie przestał się zataczać bez sensu, owszem zataczał się dalej, ale tym razem jako obiekt gniewu obrał zdrowego górnika. Miałem za mało czasu, aby wymówić inkantację, a poza tym, trafienie mogłoby spowodować czasowe oślepienie drużyny, a na to nie można było pozwolić. Skoczyłem do przodu i cięciem od lewej, trafiłem Olafa w okolice uda. Ciemnoczerwona krew natychmiast wypłynęła z rany po zewnętrznej stronie uda i zalała nogawkę. Chanacka sabera na szczęście była tylko trochę ubrudzona krwią, szybko schowałem ją z powrotem za pas. Powstałe zamieszanie pozwoliło mi odejść na pozycję wyjściową i tym sposobem uniknąłem oskarżenia chwilę później.*
*-Co wy zrobiliście?! Zabiliście Olafa!! Co ja teraz zrobię?*
*-Spokojnie, nie zabiliśmy, bo on już nie żył.-Hattim bronił drużyny.-Swoją drogą to gdyby nie to, już byś sam leżał na ziemi obity młotem.*
*-Nie prawda, on nie skrzywdziłby muchy.*
*-Aha, a tą bronią machał, bo mu się nudziło?*
*Kłótnia trwała jeszcze kilka chwil po czym drużyna opuściła to miejsce. Nie obyło się bez incydentu gorszącego: skrytobójca próbował obrabować ciało za co został ostro skarcony przez resztę grupy z Miją na czele. W trakcie drogi powrotnej wywiązała się ciekawa rozmowa:*
*-Jak sądzicie, co mogło zabić tych ludzi?-zagaiła bardka.*
*-Może jakaś trucizna, nie wiem, może nasza alchemiczka powinna się wypowiedzieć?-rzekł Edric z tylnych szeregów.*
*-Mogła to być zarówno trucizna jak i choroba roznosząca się w jakiś paskudny sposób.-wytłumaczyła Mona.-Bladość sugeruje problemy z krwią, a więc metale ciężkie.*
*-Na przykład ołów?-zapytał Omus.*
*-Na przykład.-przyznała- Jest go tutaj pełno w górach i mogło dojść do jakiegoś skażenia czy coś.*
*-Wiemy na pewno, że nie było to żadne zatrucie gazem, ani nic z tych rzeczy.-ciągnęła Mona.*
*-Dlaczego? Gaz mógłby równie dobrze zabić jak skażona woda.-Rien nie ukrywał swojego zdziwienia.-Prawda.*
*-No właśnie nie do końca.-odezwałem się w końcu.-Gdyby to był gaz to nie utrzymałby sie w powietrzu przez kilka dni z rzędu.*
*-To co sugerujesz?*
*-Równie dobrze mogło to być jakieś stworzenie grasujące w okolicy, jak zamierzona działalność człowiek lub nieludzia.*
*-O, to rozumiem, że znasz się na potworach? Opowiedz o tym.-Mija była szczerze zainteresowana tym wątkiem.-Bo widzisz, mi nie udało się nigdy żadnego spotkać i szczerze wątpię w istnienie czegoś takiego.*
*-Heh, no tak. Nie no nie można od razu śmiać się z twojej niewiedzy, braku wiary w istoty ponadprzyrodzone, bo jest to dość normalne dla przeciętnego człowieka. Zadawaj pytania, postaram się ci na nie odpowiedzieć.*
*-Jaki potwór mógł zabić górników?-zainteresował się Rien.*
*-Zakładając, ze był to stwór materialny i jak najbardziej fizyczny, mamy kilka opcji. Może nie będę rozwodził się nad tymi najmniej prawdopodobnymi, a przejdę do bardziej możliwej. Jeżeli miałbym wskazać potwora, który zabijał górników, to jest to niewątpliwie wampir.*
*Mija zrobiła lekko kwaśną minę, jakby chciała ostro zripostować moje podejrzenia, ale w porę wtrącił się Obieżyświat.*
*-A jak najłatwiej rozpoznać takiego wampira?*
*-To już zależy z jakim mamy do czynienia.-droga zrobiła się trochę bardziej stroma, wziąłem głęboki oddech.*
*-To znaczy?-niecierpliwiła sie Mija.*
*-Już mówię. Otóż wampiry zasadniczo dzielimy na wyższe i niższe. Niższe są niepodobne do ludzi, no chyba że z naprawdę dużej odległości i na nie zdziałają odstraszająco srebro tylko i wyłącznie srebro.*
*-Na przykład taki łańcuszek?-zapytał Rien.*

*-Na przykład.*
*-A czosnek?-dopytywał dalej.*
*-Czosnek? Niee, to jeden z tych mitów, który można spokojnie wsadzić między bajki. Podobnie jak woda święcona. Ale skutecznym narzędziem do zwalczania wampirów jest osinowy kołek wbity w serce.*
*-A co to ma wspólnego z naszymi, to znaczy hrabiego górnikami?-nie wytrzymał Edric.*
*-Bladość na twarzy sugerowała utratę sporej ilości krwi, zacieki krwi na szyi świadczyły o jakiejś ranie, która się obficie sączyła. Sam fakt, że podniósł się w momencie kiedy nie było to już spodziewane jest mocno podejrzany i zakrawa o arkana czarnej magii.*
*-Czyli co? Nekromancja?-ciągnął temat Edric.*
*-Właśnie nie, bo tak jak wstawanie po śmierci odpowiada nekromancji to jednak żaden mag parający się tą magią nie będzie się bawił w choroby i trucizny tylko normalnie zabije takiego górnika. Dlatego ze sfery magicznej proponuję potwory.*
*-A czym się taki wampir niższy różni się od człowieka?-wrócił do rozmowy Rien.*
*-Zasadniczo różni się tym, że taki wampir nie używa mowy ludzkiej ani innej zrozumiałej przez tutejsze ludy, jego myślenie ogranicza się do poszukiwania ofiar, świeżej krwi. Jednakże pomimo swoich pokracznych kształtów nie można ich lekceważyć, bo są to stworzenia o ogromnej sile.*
*-I sugerujesz, że mógł to zrobić wampira niższy?-włączył się do rozmowy Obieżyświat.*
*-Otóż nie, właśnie. Wampiry niższe mają umysł na poziomie znaleźć i zabić, a nie inteligentnie zacierać ślady.*
*-To w takim razie sugerujesz wampiry wyższe?-odgadła Mija.*
*-Dokładnie. Jeżeli już mam wytypować jakieś stworzenie to będzie nim niewątpliwie wampir wyższy.*
*-A czym się on różni od niższego?*
*-Zasadniczo wyglądem. Podczas gdy po jednej stronie mamy pokracznego wampira niższego, którego rozpozna się na milę w tłumie ludzi, tak wampir wyższy nie różni się od człowieka niczym, ba nawet mowę ludzką zna i może się znakomicie kamuflować-w tym momencie grupka dotarła do rozstaj przy których już była, skręciliśmy w lewo.-Tak więc każde z nas z osobna może być wampirem wyższym-po słuchaczach przebiegł cień grozy.*
*-To ja zaraz sprawdzę!-krzyknął Rien wyciągając srebrny łańcuszek.-Jaka powinna być reakcja?*
*-No właśnie, i tutaj dochodzimy do czegoś co sypie całą teorię wampiryzmu. Reakcją na srebro w pobliżu wampira jest ogromny ból, którego on nie jest w stanie kontrolować, a ta kopalnia przed chwilą to była kopalnia srebra.*
*Po towarzyszach widać było wielki zawód z tego powodu.*
*-Ale jak wrócimy do obozu to zweryfikuję te dane z moją dokładną wiedzą.*
*Szliśmy dalej spokojnie, aż zaczęliśmy dochodzić do chaty, którą mijaliśmy po drodze. Wtedy temat wampirów powrócił.*
*-Może ten kupiec jest wampirem?-zasugerował skrytobójca dość nieśmiało.*
*-Niee, chociaż... z drugiej strony... tak! Mógłby być!-podnieciłem sie jak jakiś głupi.*
*-To co? Składamy mu wizytę?-zapytał Omus poprawiając miecz przewieszony przez plecy.*
*-I tak mieliśmy mu złożyć wizytę, bo jest głównym podejrzanym na naszej liście, ale teraz trzeba wziąć pod uwagę fakt, że może być wampirem.-rzucił wicehrabia idący na czele kolumny.*
*Zamyśliłem się chwilę.*
*-W sumie to nie może.-rzekłem.*
*-Dlaczego?-zapytał Hattim i skrytobójca niemal równocześnie.*
*-Bo musiałby się wtedy stykać z tym srebrem w kopalni, a to już ustaliliśmy.*
*-No to i tak złożymy mu wizytę.-twardo trzymał się swojego Fein.*
*W tym momencie zobaczyliśmy chłopca stojącego samotnie w pobliżu drogi.*
*-A on? On mógłby być wampirem?*
*-Oczywiście. Każdy może być.*
*-Rienie! Daj na chwilę ten łańcuszek.*
*Drużyna wybuchła śmiechem na dźwięk takiej sugestii. Chłopiec tylko stał w miejscu i patrzył się na*

*nas. Po powrocie do karczmy zastaliśmy już Straż, a więc musieli wrócić z kolejnego zadania. Nie obchodziło mnie to zresztą za bardzo tylko udałem się prosto do mojego namiotu, aby sprawdzić poprawność tego co mówiłem po drodze. Tak jak myślałem, okazało się, że sporo rzeczy powiedziałem nie tak.*
*-A zresztą-pomyślałem-ważne, że fragment o srebrze się zgadza, co pozwala na skreślenie wampirów z listy podejżanych.*
*Wyszedłem przed namiot i spotkałem skrytobójcę-Ocho, zapowiada się wesoła pogadanka.*
*-Witaj!-powitał mnie półgłosem.*
*-Witaj, co słychać?-zagaiłem do rozmowy.*
*-A nic takiego. Zapomniałem sie przedstawić, Dinim jestem.*
*-Abel.-rozmówca cicho parsknął, udałem, że nie słyszę.-W sumie to czego szuka ktoś taki jak Ty na takim pustkowiu?*
*-No właśnie, mam takie pytanie. Czy nie widziałeś człowieka z pierścieniem?*
*-Z pierścieniem, sporo, a jakiś szczególny był?-Stanęliśmy z boku, tak, aby nikt nic nie słyszał.*
*-No, z takim niebieskim kamieniem. Hrabia podobno go ma.-nie wytrzymał.*
*-Nie widziałem nic takiego u hrabiego jak bylismy, ale skoro wiesz tyle to czemu pytasz mnie o to?-wbiłem wzrok w góry po drugiej stronie drogi. Znacznie piękniej tu niż w Chanacie. Ale tam jest moja ojczyzna i dom.*
*-Bo chciałem się upewnić.*
*-To zapytaj dyskretnie wicehrabiego, powinien gdzieś tu być.*
*-Wolałbym nie.*
*-Jak chcesz Dinim. Wybacz, ale mam coś do zrobienia.*
*Odszedłem w kierunku karczmy. W rzeczywistości nie miałem nic do załatwienia, po prostu chciałem jak najszybciej sprzedać tę cenną informację. Życie bywa brutalne. W drzwiach minąłem się z którymś ze Strażników, pamiętam, że miał śmieszną zieloną czapkę.*
*-Jest tam wicehrabia?-zapytałem.*
*-Tu jestem.-usłyszałem za plecami. Obróciłem się i zobaczyłem wicehrabiego Rasgalen w towarzystwie Edrica.*
*-O witam wicehrabio-zacząłem-właśnie szukałem wicehrabiego.*
*-Tak? W jakiej sprawie?*
*-Może odejdźmy trochę na ubocze.*
*-W porządku.*
*Przeszliśmy kawałek do miejsca w którym przed chwilą rozmawiałem ze skrytobójcą Diminem.*
*-Słucham więc.*
*-Otóż śpieszę donieść o spisku na życie waszego wuja.*
*-Mojego wuja?-wicehrabia dosyć się zdziwił. A nie powinien, bo w takiej gorącej okolicy hrabia Rasgalen powinien uważać na siebie cały czas.-Któż taki?*
*-Obecny tutaj-obejrzałem się dookoła. Przy ognisku siedziało kilkoro osób, ale spośród nich nie było skrytobójcy-skrytobójca.*
*Wicehrabia i Edric jak na komendę parsknęli śmiechem.*
*-A nie wygląda groźnie.-powiedział Edric-powiem więcej, wygląda na niegroźnego.*
*-Prawda, jest nieostrożny i to bardzo, ale postanowiłem wykorzystać jego błąd, żeby obronić władzę w tym rejonie.*
*-I to mówi chanacki mag.-uwaga Edrica była tak silna, że mogłaby powalić niedźwiedzia.*
*-No właśnie.-wicehrabia spojrzał na mnie jakby chciał tym spojrzeniem przesondować mi mózg.*
*-To kwestia światopoglądu, nie pozwolę, aby byle łachudra mordował arystokrację, nawet wrogiego państwa.-zdawało mi się, że głos nie drgnął mi nawet na moment.*
*-W porządku, sprawdzę tą informację i bezzwłocznie poinformuję wuja. Myślę.. tak myślę, że to będzie dobry początek naszej współpracy.-powiedział grzebiąc w sakiewce i wręczając mi duży agat.*
*-Bardzo dziękuję wicehrabio.*
*-To ja dziękuję, jeżeli ta informacja okaże sie prawdziwa.*

*W tym momencie rozmowa sie skończyła, ukłoniłem się wicehrabiemu i oddaliłem znów w kierunku mojego namiotu. Na sąsiednim łóżku siedział Varthanis i Illima i wesoło o czymś rozmawiali. Wszedłem tylko po spis najważniejszych bestii tych ziem, który cały czas okazywał się niezmiernie przydatny. Zaczęło lekko padać, więc przytuliłem papiery do siebie i starałem się je zakryć, aby nie zamokły. Doszedłem do karczmy i tak przy świetle świec zabrałem się do wnikliwej lektury. Poczułem, że stoi ktoś obok mnie.*
*-Słucham?-zwróciłem się do Omusa, który zdawał nic sobie nie robić z tego, że czyta coś cudzego.*
*-Co? A tak sobie czytam.-wyprostował się i widziałem, że jest bez broni.*
*-To pozwól, że to JA tak sobie poczytam.*
*Omus odszedł od stołu mrucząc coś pod nosem. Zagłębiłem się z powrotem w lekturę, kiedy przerwała mi... kolacja. Tak drogi czytelniku, dziwny zwyczaj tych krain mówił, że posiłki je się o ściśle wyznaczonej porze. Chcąc nie chcąc odniosłem papiery z powrotem do namiotu i powróciłem na posiłek. Wieczór przebiegał spokojnie, więc mogłem spokojnie zawrzeć nowe znajomości z przebywającymi tutaj cywilami. Edric okazał się całkiem przedsiębiorczym człowiekiem, Mija okazała nam swój cudowny talent i co najważniejsze chyba, dowiedziałem sie w końcu kim jest Omus. Omus był fałszerzem, bardzo wprawnym, ale niestety złapanym kilkakrotnie. I to może być powodem dla którego kojarzyłem go skądś. Musieliśmy po prostu siedzieć w jednej celi gdzieś w Cesarstwie. Posiedziawszy jeszcze w karczmie wyszedłem po około godzinie, bo nie działo się nic aż tak ciekawego. Wtedy na schodach spotkałem hobbitkę Sarę.*
*-Witaj Saro.-powitałem ją ukłonem.*
*-Witaj. Cóż cię do mnie sprowadza?*
*-Mam takie pytanie, dosyć ważne dla mnie. Czy jest ci coś wiadome o skórojadach?*
*-Hmm, poza tym, ze grabią okoliczne wsie, zamieszkują ziemie na wschód od tych bagien... nie raczej nie.-odpowiedziała po chwili.*
*-Szkoda, wielka szkoda. Ale nic, dziękuję bardzo i za to.*
*-Ależ nie ma za co.-hobbitka uśmiechnęła się i wyciągnęła kolejne ciasteczko.-Coś jeszcze?*
*-Nie dziękuję.-ukłoniłem się i odszedłem.*
*Sara weszła do karczmy i na chwilę widziałem oświetlone wnętrze budynku. Wróciłem do swojego namiotu i z racji, że moja warta przy ognisku zaczynała się o czwartej godzinie, więc zamierałem jeszcze pospać. Wszedłem do namiotu, odmówiłem modlitwę i położyłem sie spać.*

**********

*Obudził mnie krzyk. A może nawet ktoś wbiegł do namiotu i mnie obudził. W każdym razie po przebudzeniu usłyszałem hałas na zewnątrz i krzyk wicehrabiego: "Medyk, lekarz, ktokolwiek". Wiedziałem, ze został ranny chwilę temu, więc wróg jeszcze jest w obozie. Nasłuchałem zza płachty, cisza. To znaczy cisza byłby, gdyby wicehrabia w końcu przestał się wydzierać.-Trudno się mówi-pomyślałem, po czym wyszedłem z namiotu z saberą w prawej ręce, a lewą mając gotową do gestu. Tak jak przypuszczałem, obok namiotu w rosnącej kałuży krwi leżał wicehrabia Rasgalen.*
*-O jesteś Ablu,-wicehrabia zauważył moją obecność-proszę donieś mnie do ogniska, już chyba po bitwie.*
*-Gdzie jest Straż?-zapytałem podnosząc wicehrabiego na nogi.*
*-A wyszli przed chwilą.-wicehrabia zastękał przy podnoszeniu.*
*-I zostawili was RANNYCH??-byłem zły na strażników za to co zrobili, a raczej czego nie zrobili. Powoli docieraliśmy do wartowni. Z daleka zauważyłem wysoką postać zmierzającą w moim kierunku.*
*-Kto tam?-zapytałem uwalniając lewą ręka spod ciężaru wicehrabiego Rasgalen.*
*-To tylko ja, Hattim.-rodak wszedł do wartowni.-Odłóż broń i wicehrabiego, trzeba znieść resztę.*
*-Jaką resztę?*
*-To ty nie wiesz? Byli tu barbarzyńcy...*
*-Tyle wiem-przerwałem wciąż zły na Straż.*
*-... i zaatakowali nas we śnie. Cud, że my we dwójkę przeżyliśmy.*

*-Nie cud tylko po prostu spałem.*
*Hattim parsknął śmiechem jakby nie wierząc w to co słyszy po czym rozdzieliliśmy sie w poszukiwaniu rannych. A trzeba Ci powiedzieć drogi czytelniku, że mieli bardzo ciekawe miejsca do ukrywania się. Przy półmroku jaki panował było to prawdziwe wyzwanie, aby się o jakiegoś nie potknąć. Kiedy w końcu udało nam sie wszystkich zgromadzić stanęliśmy przed nowym problemem. Ranni wokół ogniska mimo wszystko krwawili i wyglądali coraz gorzej.*
*-W karczmie...-powiedział z trudem Obieżyświat-siedzi ta... hobbitka... może ona...*
*-Tak, może ona pomoże.-Hattim zerwał sie z miejsca i pobiegł do karczmy.-Ty zostań tutaj i pilnuj ich.*
*Zostałem we wartowni patrząc na pocięte ciała towarzyszy. Wygląd makabryczny. Drobnego wzrostu Omus leżał na ziemi trzymając się za ramię, z którego nadal sączyła się krew. Mona trzymając oburącz ranę w okolicach brzucha patrzyła tępo w sufit wartowni. Ale czegos mi brakowało, a raczej kogoś. Nie było Edrica! Wtedy do środka weszła Sara.*
*-Witaj Saro-skłoniłem się w jej kierunku. Odszedłem na chwilę od ogniska, aby dorzucić drewna.*
*-Witaj. Widzę, że macie tu lekki...bałagan.*
*-No właśnie. Czy mogłabyś jakoś nam pomóc?*
*-Mam tutaj pewien płyn, hobbicka receptura, który pomoże rannym.*
*W tym momencie do wartowni wszedł Hattim.*
*-Obszedłem obóz, wszystko w porządku.*
*-Świetnie, Sara mówi, że jest w stanie im pomóc.-odpowiedziałem wskazując na hobbitkę uwijającą się już przy rannych.-A nam brakuje Edric.*
*-Tak, jestem w stanie pomóc, ale ranni muszą odpoczywać do jutra rana, a więc wy dwaj-wskazała na nas.-odpowiadacie za ich i musicie ich bronić.*
*-Spokojnie, zaraz powinna wrócić Straż, więc nie ma się o co martwić. Ale z tym brakującym to faktycznie problem-powiedział Hattim.*
*-Aha i jest jeszcze pewne działanie uboczne-Sara uśmiechnęła się szeroko-wszyscy oni będą mieli rano ogromny apetyt na ciasteczka. Idę przygotować ich więcej.*
*Odetchnęliśmy z ulgą. Sara skończyła leczyć ranną drużynę i wyszła z wartowni uprzednio pożegnawszy się z nami. Ranni nadal leżąc dookoła ogniska wyglądali lepiej, jęczeli trochę ciszej, ktoś chyba nawet zasnął. Siedzieliśmy tak z Hattimem przy ognisku dorzucając co jakiś czas do ognia. Wtedy zaczęły przebudzać się pierwsze osoby. Pierwszy obudził się Vilreht, gdyż jego rana zaraz przy prawej stopie była w miarę płytka, ale jednak tętnica jest tętnicą i wcześniej mocno krwawił. Następny przebudził się Obieżyświat, gdyż był "jedynie" ogłuszony mocno obuchem. Najgorzej trzymała sie wspomniana wcześniej Mona i wicehrabia z poważną raną na udzie. Rozmawialiśmy dalej z Hattimem, o Straży, o naszym wspólnym zadaniu u hrabiego, o sytuacji w Chanacie  o na ulubiony temat każdego Chanysa: co zrobimy cesarskim jak dobierzemy im się już do dup.*
*-Ale nie zapominaj, że tutaj, w tym towarzystwie musimy się zachowywać w mirę przyzwoicie.*
*-Musimy?-Hattim nie poddawał się.*
*-Musimy, bo inaczej rozniosą nas mimo wszystko. Jest ich liczebnie za dużo.*
*W tym mniej więcej momencie spostrzegliśmy, że drużyna przebudza się, jakby z głębokiego snu. Ku naszej głębokiej uldze Mona i wicehrabia zaczęli dawać jakieś znaki życia. Po około kwadransie wyszedłem znów przed wartownię. Strażnicy zostali podobno zaskoczeni i zauroczeni w trakcie warty, więc nie mogliśmy sobie pozwolić na taki błąd tylko we dwóch. Zauważyłem ruch na zejściu z drogi. Cofnąłem się krok do wnętrza wartowni opierając saberę o ścianę gotów do zgotowania im piekła.*
*-Idą cicho-pomyślałem-za cicho jak na Straż.*
*Jak na potwierdzenie moich słów w niebo uleciała salwa śmiechu.*
*-Już nie idą cicho-stwierdziłem w duchu wkładając broń za pas. Przodem szedł najemnik Rigo, dalej Shamaroth i Yngvild. Nie wyglądali na zadowolonych.*
*Witam naszą szanowną Straż.-powiedziałem z kpiną w głosie.-Cywile, obywatele, których mieliście bronić omal nam nie skonali na rękach. A jednego porwali.*

*Yngvild przeszła obok i juz myślałem, że zbędzie milczeniem tą uwagę.*
*-A my, wyobraź sobie chanie jeden-co za niedouczenie-uganialismy się za skórojadami po lesie.*
*-I jak fajnie sie biegało?-Strażniczka przeszła obok mnie.*
*-Fajnie, ale wzięli Borysa do niewoli.-rzekł Rigo przechodząc obok mnie.*
*-Ooo to bedziecie pomniejszonym składzie walczyć?-starałem się wyładować swoją złość.*
*-Mniej więcej.*
*Starałem się wypatrzeć w tłumie Illimę, aby poinformować go o warcie. Kolejni Strażnicy mijali mnie wchodząc do wartowni. W końcu udało mi sie wypatrzeć jasnowłosego wojownika w reszcie oddziału. I to chyba tylko przez jasne włosy w ogóle go zobaczyłem, bo reszta czarnego stroju Strażnika była zupełnie niewidoczna w ciemności.*
*-Illima.-zacząłem rozmowę.*
*-Tak?-przestał się śmiać i spojrzał na mnie.*
*-Ja swoją godzinę odsiedziałem, posiedzisz z Rigiem sam.*
*-W porządku.-odpowiedział.*
*Pożegnaliśmy się i poszedłem do namiotu spać. Zasnąłem w miarę szybko i bez problemów.*

*<u>6 dzień Lammas</u>*

*Padało. O tym niemiłym fakcie dowiedziałem się chwilę po przebudzeniu. Wielkie krople deszczu ciężko uderzały w dach.*
*-Trzeba wstać-pomyślałem. Po nocnej akcji miałem nader dobry humor. Wyjąłem z podróżnej sakwy haszet i rozłożyłem na podłodze namiotu. Po skończonej modlitwie wziąłem swoje gliniane naczynia i udałem sie do karczmy. W powietrzu wciąż wisiał zapach ostatnich wydarzeń. Błotnista ziemia przed wartownią była zryta ciężkimi wojskowymi butami, plamy krwi zmieszane teraz z deszczem tworzyły potoki spływające w dół w kierunku drogi. Obok stała ława poplamiona krwią i pocięta mieczami. Kupka zwęglonych krzaków sugerowała użycie silnych zaklęć. Wszedłem wyżej. Nogi ślizgały mi się na schodach. Krew, pełno krwi. Zajazd w niej płynął!! Gdyby nie to, że Straż jednak się popisała szybką reakcją, może nie widziałbym już tych obrazów. Wszedłem szybko do budynku i od razu uderzyła mnie nowina: Edric wrócił i ma się dobrze. Okazało się, że był on przetrzymywany do jakiegoś innego celu niż zabicie. Chociaż to jedno miejsce nie ucierpiało-pomyślałem wchodząc do środka-w walce. W trakcie posiłku głównym tematem rozmów był Borys. O tym jak szli i jak walczyli dowiedziałem się w trakcie rozmowy. O tym jak stracili Borysa i niemal stracili Varthanisa mówili z wielkim trudem. Plan był prosty: znaleźć i zabić. Nie ważne jak nie ważne kto zginie przy okazji. Ależ to prymitywne. Wtedy do karczmy weszła Sara.*
*-Wiataj Saro!-powitał ją chór głosów poza Varthanisem i Illimą, którzy rozmawiali oraz Shamarothem, który miał usta pełne chleba.*
*-Witajcie.-odpowiedziała i usiadła przy swoim stoliku.*
*Po posiłku zostałem w karczmie, aby posłuchać dokładniejszych relacji odnośnie barbarzyńców. W końcu było to celem mojej podróży, więc musiałem słuchać bardzo dokładnie. Niewiele się dowiedziałem poza tym, ze otrzymują transporty z Cesarstwa. To jest cudowne, oni doprowadzą do swojego samozniszczenia! Wtedy też do karczmy wpadła wieść o targu, targu niewolników. Natychmiast postanowiono udać się tam i znaleźć Borysa.*
*-Straż zbiórka w karczmie!-ryknął Rigo. W drzwiach stanął Shamaroth i wpuszczał żołnierzy.*
*-Tylko straż-powiedział kiedy próbowałem wejść. Usiadłem obok na stercie drewna i czekałem na resztę cywili. Targ niewolników był rzeczą absolutnie zabroniną a terenie cesarstwa, ale Raegen rządzi się swoim prawem handlowym. Po chwili oddział Straży Pogranicza maszerował wesoło z grupką cywili, którzy szli "na własne ryzyko". Początkowo wicehrabia nie chciał pozwolić na marnowanie czasu na "jakiśtam targ" ale przygnieciony większością głosów szedł teraz razem z innymi pod górę. Szliśmy do miejsca z którego udało sie uciec Edricowi. I faktycznie po krótkim spacerze i trudnej wspinaczce znaleźliśmy opuszczone obozowisko. Przeszukanie nie dało żadnych skutków i staliśmy w martwym punkcie. Nie wiedzieliśmy co dalej ze względu na liczne ślady*

*prowadzące od tego miejsca. Wtedy z pomocą przyszła psioniczka Candcice i przeczytawszy szybko pamięć tego miejsca z ostatniej nocy wskazała drogę. Po trochę dłuższym spacerku udało nam się, ku memu zaskoczeniu, osiągnąć cel. Targowisko nie było specjalnie zapchane, ale czemu sie dziwić? Godzina wczesna, a mało komu chciałoby sie wstawać wcześnie dla jakiegośtam niewolnika. Tylko oni byli tak szaleni. Z brzegu stał niewielki kramik kupca sprzedającego różne różności, a dalej w głębi stał potężnej budowy człowiek z dwoma więźniami. Nie byłem specjalnie zdziwiony gdy jednym z nich okazał się Borys. Całej akcji wykupywania nie śledziłem, bo dużo ciekawsze rzeczy działy się przy kramie kupca. Byłbym w stanie coś więcej powiedzieć, pamiętam jedynie, że w jednej chwili podeszła bardka Mija, a w następnej nie było jej i części towaru kupca.*
*-Złodziej-kupiec od razu podniósł alarm.-Okradli mnie.*
*-Kto?-zapytał zwiadowca Jarkos.-Nikogo nie widzieliśmy.*
*-Jak nie widzieliście? Straż i nie widzieliście złodzieja?*
*-Nie widzieliśmy.*
*W tym momencie do kramu podeszła Yngvild i Hodo zaalarmowani krzykami kupca.*
*-Co jest grane?-zapytał Hodo.*
*-Był tu złodziej, a oni go kryją.-kupiec wskazał ręka na towarzystwo zebrane dookoła. Miji już tu nie było. Yngvild przebiegła wzrokiem po zebranych, na chwilę zatrzymała się przy mnie.*
*-I sugerujesz, że moi ludzie i ci tutaj zebrani cywile dopuścili sie kradzieży?*
*-Tak to właśnie sugeruję-kupiec nie dawał za wygraną.*
*Dalszej części kłótni nie słuchałem, bo oto Borys próbował wywalczyć sobie wolność walcząc z drugim niewolnikiem na lekkie drewniane miecze. Cała zabawa polegała na tym, że byli połączeni ze sobą łańcuchem, który znacznie krępował ich ruchy. Ostatecznie walka zakończyła się remisem i powrócono do negocjacji. Wtedy spostrzegłem postać schodzącą z góry drogi. Kiedy podszedł bliżej zauważyłem, że jest to wysoki urzędnik Chanatu, jeden z głównych kupców Gildii. Skłoniłem się z szacunkiem, a on na to:*
*-Ładny chłopczyk, na sprzedaż jesteś?-zapytał.*
*-Nie.*
*-Oj, a to szkoda, bo pasowałbyś do haremu.*
*Wolałem dalej nie ciągnąć tej rozmowy, bo ani jedna ani druga opcja przebywania w haremie mi nie pasowała. Kupiec przeszedl w międzyczasie dalej i dopchał się do Borysa i zaczął podnosić poprzeczkę. Nie uczestniczyłem w tej zabawie, bo to nie był mój człowiek, z mojego oddziału, bo, był to wróg śmiertelny i wykupienie byłoby nonsensem. Kolejnym powodem była droga. Od dołu prosta i słabo zarośnięta, od góry był zakręt za kilka metrów, a z prawej byla stroma skarpa zarośnięta różnymi roslinami. Postanowiliśmy rozstawić się na drodze, w razie gdyby skórojady zechciały dostarczyć więcej "towaru". Licytacja trwała dalej kiedy nagle pojawił się Arandir, ów śmieszny elf w towarzystwie komendanta.*
*Huk.*
*-Co to za zbiegowisko? Co sprzedajecie?-oficer podszedł do kramu. Kupiec pobladł i usiłował ukryć broń, która leżała za nim.-o bron sprzedajecie. Skąd ją macie?*
*-Z legalnego źródła.-odpowiedział krótko.*
*-Pytam SKĄD!*
*-Z Cesarstwa.*
*-I sprzedajecie tutaj przy granicy skórojadom?-komendant nie dawał za wygraną.*
*-Sprzedajemy wszystkim.*
*-A tam co jest?!-krzyknął komendant przepychając się do przodu.-co to? Ludźmi handlujecie?*
*-Jest to zgodne z prawem.-głos handlarza brzmiał jak burza.-Nie zabronisz mi tego.*
*-A właśnie, że zabronię, bo jestem żołnierzem cesarskim, a Cesarstwo zabrania niewolnictwa.*
*Wiedząc, że sprawa jest pod kontrolą udałem się z powrotem na posterunek. Po chwili Borys wolny już podszedł do nas. Jarkos niemal natychmiast zrozumiał i zaczął rozkuwać kozaka.*
*-Potrzebujesz tego?-wskazał na saberę.*
*-Zależy. A co?*
*-Bo widzisz, jak mnie wzięli do niewoli to zabrali mi broń.*

*Wyjąłem powoli broń i wręczyłem mu.*
*-Ale po powrocie do zajazdu broń wraca do mnie.*
*-Jasne, jasne.*
*Wypróbował broń.*
*-Ciężka trochę.-rzekł.*
*-Bo to sabera, a nie byle gówno.*
*Na targu zabawilismy jeszcze krótką chwilę w trakcie której zdołaliśmy wejść w posiadanie jednej tarczy i prawie włóczni, ale ostatecznie z zakupu włóczni zrezygnowaliśmy. Potem przyszło nam wracać z powrotem do zajazdu, zbliżała się pora obiadu, a tu nie ma, że boli. Kiedy dotarlismy w końcu na miejsce było cicho i spokojnie. Rozsiedliśmy sie w karczmie i wysłuchiwaliśmy relacji Borysa. O tym jak walczyli i został ogłuszony. O tym jak przebudzil ie spętany przy ognisku i o tym jak go przyprowadzili tu na targ. Potem był obiad i kolejne dyskusje, Straż debatowała nad tym co będą musieli znowu zrobić, a my zastanawialiśmy się co zastaniemy u kupca.*

**********

*Po godzinie atmosfera się znacznie rozgrzała, a to za sprawą pojawienia się ichmościów w czerwonych tunikach. Samego pojawienia nie widziałem, ale zamieszanie jakie powstało to już mi nie umknęło. Okazało się, że mają pismo od hetmana(taki cesarski emir), z nakazem przeszukania zajazdu. Czego poszukiwali to nie wiemy, ale obecny przy tym porucznik był zły.*
*-Co to ma znaczyć? Tak bez powodu przeszukujecie moich ludzi?*
*-Nie bez powodu tylko z rozkazu hetmana.-jedyny pozostały zakonnik zakonu Indry bronił towarzyszy. Reszta poszla wykonać rozkaz.*
*-Nie wierzę w to, że hetman wydał tak absurdalny rozkaz.*
*-To uwierz.-skończył ostro zakonnik.*
*W międzyczasie wróciła reszta zakonników.*
*-Tu tego nie ma, przeszukać ich.-powiedział dowódca w czarnym płaszczu.*
*-Zaraz! Rozkaz obejmuej jedynie przeszukanie zajazdu, a nie rewizję osobistą.-zauważył porucznik.*
*Uśmiech na twarzach zakonników zniknął momentalnie.*
*-Dobra, chcecie nakazu, to będziecie go mieli.*
*Dowódca skinął ręką i oddział oddalił się.*
*-Zbiórka WSZYSTKICH w karczmie.-rozległ sie okrzyk Hattima chwile później.*
*Kiedy już w karczmie zjawili się wszyscy, a napewno znaczna większość Yngvild przeszla od razu do rzeczy.*
*-Wizyta zakonu Indry nie jest przypadkowa i wiem nawet czego szukali-powiedziała zdejmując ciężki amulet. Był to duży zielony kamień okuty żelazem. Amulet stuknął o stół-jest to amulet, który za wszelką cenę nie może wpaść w ręce zakonu, bo wtedy-zrobiła pauzę-Cesarstwo zginie.*
*Na zebranych żołnierzach zrobiło to średnie do dużego wrażenia. Hattim i ja zbylismy to sichym parsknięciem, a większość cywili oczekiwała w napięciu na ciąg dalszy.*
*-To zniszczmy go.-krzyknął ktoś z głębi.*
*Yngvild wyraźnie pobladła.*
*-Nie możemy-niemal krzyknęła. Wtedy odezwał się Borys siedzący dotychczas przy barze z Sarą.*
*-Yngvild, pozwól na moment.-Strażniczka wstała i podeszła do kozaka.*
*-Na tym medalionie jest pewien znak prawda?-zapytał wprost.*
*-Pewnie.-powiedziała odwracając amulet rewersem. Widnial tam znak kształtem zblizony do jedynki. Borys wziął jeden z talerzy leżący na stercie obok. Yngvild nagle ożyła i ożywiona zaczęła wypytywać hobbitkę o pochodzenie talerza. Okazało się, że nad pobliskim jeziorem są ruiny, które chłopi często odwiedzają w celach rabunkowych. Po dziesięciu minutach oddział opuszczał zajazd. Sara nadal spokojnie stała za barkiem i polerowała talerze. Przetarła szmatką zewnętrzną stronę talerza i z westchnieniem spojżała na wyryty znak "jedynki".*

**********

*Kiedy przestało padać wyruszył także nasz oddział. Muszę przyznać, ze szybkość reakcji straży pozytywnie mnie zaskoczyła. Nie sądziłem, że grupa pseudowojowników zdoła coś zrobić szybko i sprawnie. Wracając jednak do naszej grupki. Z listu otrzymanego od hrabiego dowiedzieliśmy się gdzie mieszka kupiec. Przekazaliśmy tę wiadomość Obieżyświatowi, a on powiedział, że może nam wskazać drogę. Oczywiście znów wicehrabia usiłował wytargować jak najniższą cenę. Może nie będę o tym wspominał, bo to dość przykre. Starczy powiedzieć, że po około dziesięciu minutach, kiedy deszcz przestał lać, a zaczął kropić, wyruszyliśmy. Po drodze, jak to zwykle z Obieżyświatem bywa, trafiliśmy na krzaczki malin. Po dwudziestominutowym marszu doszliśmy na szczyt niewielkiego wzgórza.*
*-To teraz na dół?-zapytała Mija. Wzgórze było małe tylko z jednej strony.*
*-Na dół, pewnie.-odpowiedział z radością w głosie Obieżyświat.*
*Ten odcinek drogi przebiegł nader szybko. Kiedy mieliśmy za sobą ponad połowę drogi zauważyliśmy niewielki drewniany domek.*
*-To tam mieszka kupiec.-oznajmił wicehrabia Rasgalen usiłując utrzymać równowagę.*
*-Ładny domek.-przyznał Omus-naprawdę ładny.*
*Jednakże domek nie był jedyną rzeczą jaką zauważono.*
*-Tam są jacyś ludzie-ostrzegł skrytobójca wskazując krzaki po prawej stronie.*
*-Niech sobie będą-odpowiedział Edric.-Dopóki nie wchodzą nam w drogę to jest dobrze.*
*No i było dobrze, aż do chwili kiedy łucznicy(bo okazało się, że jest to dwoje ludzi z łukami) nie zaczęli gonić naszej cudownej drużyny.*
*-Chodu, wszyscy do środka.-krzyknął Hattim i sam popędził do przodu.*
*Kiedy dotarliśmy do drzwi to mało ich nie wyłamaliśmy z impetu. Niska, młoda kobieta, żona kupca otworzyła je nam.*
*-Czego chcecie?-zapytała ze strachem.*
*-Przysłał nas hrabia Evryl Rasgalen.-zaczął niepewnie wicehrabia.*
*-Wejdźcie, wejdźcie.*
*Cała grupka w ułamku sekundy znalazła sie w środku i zajęła pozycje obronne. Wicehrabia i Hattim zabrali się za przepytywanie kupca. Okazało się, że nieszczęśnik także zapadł na tą chorobę i teraz ma swoje ostatnie dni.*
*-Witajcie. Czemu nachodzicie mnie w moim domu?-zajęczał chory.*
*-Przyszliśmy do Ciebie, bo tylko Ty jesteś w stanie pomóc nam w tym momencie.-zaczął wicehrabia.-Wiemy, że jesteś kupcem i że dostarczałeś żywność do kopalń mojego wuja.*
*-O, panicz na Silberberg. Wybacz, że nie wstanę, ale-zakaszlał-mój stan sie pogarsza.*
*-Wybaczam. Przyszliśmy się zapytać, skąd jesteś zaopatrywany.*
*-A jeżdżę tu i tam, a poza tym nie jestem jedynym kupcem.-mężczyzna poszukał wzrokiem żony.*
*-Tak panie, ale zostałes wskazany przez hrabiego jako ten który zaopatrywał kopalnie.-wtrącił Hattim. W międzyczasie Rien, alchemiczk i Mija próbowali przekonać żonę kupca do opuszczenia tego miejsca. Okazało się, że w Silberberg mieszka jej rodzina i poprosiła, aby ją tam odeskortować.*
*-Na prawdę?*
*-Tak.-odpowiedział chanys.*
*-No cóż, swoje towary biorę z Kamieńca.-Mężczyzna zauważył zamieszanie pod ścianą. Łucznicy zaczęli strzelać.-Co sie dzieje? Dlaczego oni strzelają?*
*-Bo chcą nas zabić?-zasugerował cichutko Omus.*
*-Proszę,-zaczął kupiec-zaopiekujcie się moją żoną, nie chcę, żeby stała jej sie krzywda.*
*-Nie ma powodu do niepokoju.-odrzekł wicehrabia. Kłamał, bo sam obawiał się o swoje życie.-Czy mamy jakiegoś łucznika?*
*-Nie, Candice poszła ze Strażą.-odrzekłem-ale spróbuję coś zrobić.*
*-Byle szybko.*
*-Ja zaopiekuję się Twoją żoną-odpowiedziiał po chwili namysłu Rien.*
*-Dziękuję. Słuchajcie, moim zdaniem zarażone było...-kupiec skonał w ostatniej chwili.*
*-Jasna cholera-zaklął wicehrabia Rasgalen.*

*Świst powietrza, odgłos przebijanej błony i strzała z puknięciem wbiła sie w ścianę tuż obok Hattima.*
*-Radzę się odsunąć.-powiedział Obieżyświat próbując się wepchnąć razem z Miją, Moną i Rienem do niewielkiego pomieszczenia obok.-Wicehrabio! Domagam się większej zapłaty za zwiększone ryzyko.*
*Kolejna strzała wpadła do pomieszczenia, za nią następna.*
*-Ablu zrób coś-wrzeszczał Rien- wystrzelają nas.*
*-Teraz nic nie zrobię, muszę poczekać, aż zrobią przerwę.-odpowiedziałem.*
*-To może na razie co pozbieramy strzały?-zaproponował Edric i sam wyciągnął pierwszą strzałę ze ściany.*
*-Niegłupi pomysł.-odpowiedział Omus i dołączył sie do towarzysza.*
*Kolejne dwie strzały poleciały. Pierwsza wleciała do izby i lecąc na wicehrabiego została w ostatniej chwili obita przez Riena, druga przeleciała przez izbę i wyleciała tylnymi drzwiami. Wszyscy spojżeli z podziwem na szermierza.*
*-Obstawić tylne drzwi,-krzyknąłem patrąc na Riena stojącego po drugiej stronie drzwi-będą próbowali nas otoczyć.*
*I wtedy nastąpiła z dawna oczekiwana przerwa. Łuczniczka podbiegała właśnie, żeby wyjąć strzałę ze ściany, a łucznik nakładał strzałę na cięciwę. Wyskoczyłem zza drzwi i krzyknąłem wykonując przy tym gesty.*
*-Apare torden dennisimi.-zamiast oczekiwanego pioruna, z końców palców strzeliło tylko kilka małych fioletowych iskierek. Zakląłem w duchu, bo widziałem, że łuczniczka juz szykuje łuk do strzału.*
*-Kończą im się strzały, zaraz będziemy mogli wyjść.-poinformowałem resztę. Mija i Rien chya i tak nie usłyszeli, bo żona kupca zaczęła nagle strasznie panikować, nie chciała iść z nami.*
*-Zostawcie mnie tu!*
*-Napewno tego chcesz?-upierał się Rien.*
*-Tak, chcę pochować mojego męża.-spuściła głowe gotowa do płaczu.*
*-W porządku, nie che z nami iść, niech zostnie.-Hattimowi wyraźnie puściły nerwy. W tym momencie ostatni strzała wpadła do iby i natychmiast została zabrana przez Edrica.*
*-Idą, z prawej-zaalarmował Vilreth. Faktycznie, przez okno z prawej strony widać było dwójkę łuczników uciekających w głąb lasu.*
*-W porządku, wychodzimy.*
*Powiedzieć było najłatwiej, gdyż nikt nie chciał wyjść jako pierwszy. Ostatecznie przykład dał Dinim, za nim ja i reszta drużyny. Rien stał jeszcze chwilę w środku i próbował namówić kobietę do opuszczenia niebezpiecznego miejsca, ale po chwili dał za wygraną i jako ostatni opuścił budynek.Droga powrotna minęła bez większych kłopotów i w dobrym humorze i gdy wróciliśmy do zajazdu Villsvin mieliśmy nawet pewne plany odnośnie zdobytych strzał. Pierwsza wersja. Nanieść na strzały znak Kłodzka lub Kamieńca i użyć tego jako dowodu przeciwko nim. Hrabia rospętałby wojnę i byłoby po kłopocie. Z naszej strony.*
*Wersja druga. Sprzedać strzały Strażnikom po zaniżonej cenie jedyne 3 grosze za sztukę.*
*I wersja trzecia, którą postanowiliśmy wprowadzić w życie. Zorganizować turniej łuczniczy, w którym nagrodą byłby łuk. I tak nasza drużyn miała wejść w posiadanie łuku. Lecz po dotarciu do zajazdu mieliśmy całkiem inne problemy niż ten.*

**********

*W karczmie zastaliśmy oddział Straży wypoczywający po wyprawie. Wyprawa nie była zbyt długa, ale kilkoro z nich-na przykład Candice-mocno przepłacili wyjście. Okazało się, że w tamtym miejscu wiele lat temu mieli swoją siedzibę Najstarsi, którzy według legendy mieli ukuć potężną broń Draig-a-Hern czyli Żelaznego Smoka. Naszym, a raczej Straży zadaniem było znaleźć teraz Wiedzącą, najstarszą i najmądrzejszą z Najstarszych i spytać ją o położenie Draig-a-Herna. Zamierzali zrobić to następnego dnia, ale część miała pewne wątpliwości.*

*-A co zrobimy jak pojawi się kapitan i zobaczy, że nas nie ma?-zapytał Hodo.*
*-A tam kapitan, przejmujesz się-Shamaroth wyraźnie się nie przejmował.*
*-Nie a tam, bo to będzie niesubordynacja czyli śmierć.-rzuciła Yngvild.*
*-No to co robimy?-spytał poważnie Shamaroth.*
*-No cóż, zobaczymy czy dostaniemy z rana jakieś zadanie czy nie.*
*Tego samego dnia wieczorem ogłoszono turniej łuczniczy na jutro. Wszyscy przyjęli to z radością, a nasza drużyna z jeszcze większą kiedy nikt nie zaprotestował, aby Rien i Mija robili zapisy...*
*Po kolacji udało mi się dowiedzieć więcej na temat Draig-a-Herna. Miałem teraz spory problem: zwiać i tę informację przekazać dowództwu, poczekać aż będą wydobywać Smoka i ukraść go, czy może pomóc wrogowi. Postanowiłem przespać się z tym pytaniem do jutra.*

*7 dzień Lammas*

*Padało. Ale już nie tak jak wczoraj. Chłodne powietrze brutalnie wdzierało sie przez uchyloną płachtę namiotu i dalej do nozdrzy. Wstałem powoli i odmówiłem poranną modlitwę. Po umyciu się wróciłem do namiotu i wziąłem naczynia.-Dziwne-pomyślałem-jakoś nigdy nie słyszę pobudki a budzę się na czas. Z tą myślą poszedłem w kierunku karczmy. Myślałem nad Żelaznym Smokiem i w nocy miałem sen, a raczej śmiertelną wizję.*
*Była ciemna noc na Bramie Północnej, z oddali widać było światła cesarskich placówek. Wtedy niebo rozkwitło czerwonym blaskiem. Krwawym blaskiem. Od północy widać było zbliżający sie punkt. Punkt na niebie stawał sie coraz wyraźniejszy i wyraźniejszy, rósł w oczach. Był jeszcze daleko od najbliższej twierdzy cesarskiej, ale już widziałem czym jest. Dreig-a-Hern, Żelazny Smok pikował w dół w kierunku placówki Drasterberg. Oślepiający błysk i Smok leciał dalej. Wtedy dojrzałem co miał na sobie, a mianowicie czerwoną tunika i czarny płaszcz. Zakon Indry. Smok kontynuował dzieło zniszczenia i demolował kolejne placówki. Kiedy w końcu skończył usiadł na kupie gruzu, rozpostarł skrzydła i plunął ogniem w naszą stronę. Ale jak tylko płomień przeleciał nad granicą rozwiał się jakby nigdy nie istniał. Smok spojrzał zdziwiony lekko, a po chwili wzbił się z powrotem w niebo. Kiedy odleciał rozejrzałem się dookoła. Ciemność zastąpiła światło, śmierć życie. Czułem jakąś wewnętrzną radość, że oto największy wróg zginął, po prostu go nie ma. Z drugiej strony miałem wrażenie, że ktoś mnie oszukał, bo to nie Chanat był zabójcą Cesarstwa, a jakiś zakon.*
*Z tym dokładnie uczuciem wszedłem do karczmy i usiadłem do posiłku. W trakcie posiłku wszyscy starali się wychwalać bohaterstwo Borysa, że tak długo wytrzymał, a Borys dziękował za ratunek. Po posiłku wszyscy tradycyjnie rozeszli się po zajeździe w sobie tylko wiadomych celach. Wtedy to pojawił się komendant. Nauczony już poprzedniki odprawami kiedy to cywile wprost skręcali się ze śmiechu, tym razem do karczmy weszli tylko żołnierze cesarscy. Po wyjściu wszyscy mieli posępne miny, a Hodo odciągnął na bok wicehrabiego. Wręczył mu coś po czym wrócił do oddziału. Tym razem to cywile zajęli karczmę.*
*-Zbiórka cywili w karczmie-krzyknął Hattim i cofnął się do środka.*
*Po chwili siedzieliśmy już w pełnym składzie i wicehrabia przedstawiał nam cel naszej wyprawy.*
*-Musimy udać się w góry i znaleźć Wiedzącą.-zaczął.*
*-Po co?-zapytała Mija.*
*-Bo nas Straż poprosiła o pomoc.*
*-Też mi powód.-powiedział cicho Omus.*
*-W każdym razie musimy natychmiast wyjść, żeby wrócić w porze obiadu.*
*Teraz to MY "błękitne ptaki" mieliśmy udać się do Wiedzącej i wypytać ją o szczegóły odnośnie Smoka. Trochę mnie to podirytowało, ale cóż, nie miałem siły przebicia. Kiedy wyruszaliśmy nic nie zapowiadało kłopotów.*

**********

*Droga ciągnęła się w górę i w dół, zdawało się, że bez końca. W końcu jednak weszliśmy na szczyt i idąc grzbietem góry podziwialiśmy uroki przyrody. A było co podziwiać, muszę przyznać. Kraj piękny, góry malownicze i szkoda tylko, że to nie kochana ojczyzna. Ale wracając do rzeczy. Szliśmy tak już spory kawałek: grupa ścieżką, a skrytobójca bokiem nie wiedzieć czemu. Ale nie wypominaliśmy mu tego, bo w gruncie rzeczy JAKIŚ zwiad by się przydał. Po chwili dojrzeliśmy dym ogniska.*
*-Uwaga!-ostrzegł Obieżyświat-ktoś tam jest.*
*Zazgrzytała broń wyciągana zza pasów i pochew. Wszyscy ustawili się w pozycjach gotowych do walki co najmniej jakby szykowali się do napadu, a nie do pokojowej rozmowy. Szedłem pierwszy i jako pierwszy mogłem ją zobaczyć. Średniego wzrostu, włosy zaplecione w małe warkoczyki z serią dziwnych tatuaży na twarzy. W długiej ciemnej szacie chodziła boso po lesie. Skłoniłem się delikatnie po czym zwróciłem do reszty grupy.*
*-Nie ma powodu do niepokoju-jest bez broni-powiedziałem pierwszy chowając broń za pas. Do rozmowy poszedł wicehrabia. Chwilę stał, rozmawiał dość cicho nawet po czym wrócił do nas i zdał relację z wywiadu.*
*-Dała nam dwie wskazówki, dwie ścieżki do Dreig-a-Herna. Pierwsza: Gdzie wnętrze ziemi wychodzi na powierzchnię owiewane przez wiatr i grzane przez słonce. Smak malin zaprowadzi was.*
*-O, Obieżyświecie, wiesz coś o tym-zażartowała Mona.*
*Wicehrabia zdążył zganić wzrokiem oboje zanim rozległa się odpowiedź.-I druga tam, gdzie we wnętrzu ziemi obmywa ją woda, szlak kłów i zębów poprowadzi was.*
*-Hmm zagadkowe... Może chodzi o leże jakiegoś potwora-zasugerowałem.*
*Po tym wicehrabia szedł jeszcze kilka razy dobierając coraz to inne osoby. Ostatecznie pytanie o to kto truje górników zostało podsumowane:"skoro tyle wiesz to po co pytasz", wicehrabiemu zrobiło się głupio i uznaliśmy, że trzeba wracać. Na odchodnym Wiedząca powiedziała, że "droga jest zablokowana, musicie obejść bokiem". Więc poszliśmy bokiem, a przeszkodę ominęliśmy. Oczywiście po drodze kilka osób narzekało na bóle nóg, bo droga faktycznie dawała w kość, ale i tak nie miało się to nijak do naszego następnego problemu.*

**********

*Jedliśmy obiad kiedy to się stało. Drzwi od karczmy otworzyły się z hukiem, kilka osób odruchowo sięgnęło po bron w tym ja. W drzwiach stał Lann z przewieszonym przez ramie Arandirem. Wtoczył sie do środka i rzucił elfa na ławę.*
*-Wszyscy, którzy są w stanie pomóc, potrzebujemy was.*
*Towarzystwo popatrzyło po sobie, po czym do naczyń. Kasza była pyszna i mało komu na prawdę chciało się opuszczać to miejsce.*
*-Jak zjem to pójdę-powiedziałem zatapiając łyżkę w kaszę.*
*-I zabierzcie te zwłoki-powiedziała Mija z odrazą-strasznie cuchną.*
*Ale Lanna nie było już w karczmie, wyszedł.*
*-Ciekawe co znowu zmalowali-powiedziałem zanurzając łyżkę po raz kolejny.*
*-Pewnie wpadli na pomysł, żeby pozbyć sie elfiej krwi-zażartował ktoś. Dinima najwyraźniej nie rozbawił ten żart i pochylił sie głębiej nad swoją miską. Od dziś dopiero wiadomo było, że pod tym czarnym kapturem kryją sie elfie uszy.*
*-Pomożemy im?-zapytał Edric.*
*-Jak zapłacą to czemu nie?-odrzekł wicehrabia Rasgalen. Towarzystwo wybuchło śmiechem.*
*-Można zobaczyć czego chcą, najwyżej zrezygnujemy-odrzekł już na poważnie Hattim.*
*-Ja zostaję,-oświadczyła Mija-nie wiem jak ty Rienie.*
*-Ja chyba pójdę.*
*-W każdym razie nie zamierzam sie włóczyć za jakąś tam strażą.-zakończyła wypowiedź bardka.*
*Po chwili przed karczmą pojawili się dwaj kolejni strażnicy o dziwo bez insygniów.*
*-Szybko, potrzebujemy pomocy.-powiedział jeden z nich.*

*-No cholera, jeść przy was nie można-wstałem z hukiem.-Czego, zapytam grzecznie, chcecie?*
*-Kilku z naszych wzięli do niewoli i...*
*-Kto wziął-wciął się Edric*
*-Komtur. I teraz próbujemy ich uwolnić.*
*-No to chodźmy.-krzyknąłem nawet nie patrząc czy ktokolwiek idzie za mną.*
*-Kiedy wyszedłem w końcu przed karczmę(bo ciężko było mi się rozstać z kaszą) zauważyłem, że jest tam reszta oddziału. A raczej reszta której nie aresztowano. Całe szczęście, że w takich sytuacjach nie ma problemu z jakimkolwiek działaniem, bo żaden z pozostałych wojów nie wykazywał zdolności dowódczych. Wręcz przeciwnie. Jeden krzyczał przez drugiego, ktoś tam groził, że jak dopadnie zakon Indry to mu coś wyrwie i tak dalej. Trwałoby to pewnie dłużej, ale nagle pojawił sie komendant i wydal rozkaz wymarszu. Stał na dole i patrzył na oddział wspinający się pod górę na drogę.*
*-A ci cywile?-zapytał.*
*-Poprosiliśmy ich o pomoc to idą z nami.-odpowiedział Illima, zamykający pochód.*
*-Ale powiedz im, że idą na własne ryzyko.*
*-Tak jest.*
*Kiedy oddział był na drodze komendant szybko przeliczył, następnie spojrzał na cywili i westchnął głośno.*
*-Biegiem, liczy się każda chwila!*
*Grupka ruszyła przed siebie.*
*-Cholera-pomyślałem cholera, cholera. Wyrwali mnie w trakcie posiłku, a teraz mam niestrawności.*
*Na moje szczęście zaraz jak tylko wybiegliśmy na płaski teren zauważyliśmy jeńców. Szli wolno z cynicznymi uśmiechami na twarzach.*
*-Dziękujemy za jakże szybki ratunek-zaczął Rigo.-Dobrze, że sobie krzywdy nie zrobiliście.*
*-Nie ma za co.-Mona jednak zdecydowała sie iść z nami i teraz stała z przodu i uśmiechała sie do Yngvild złej na wszystko.*
*-Nie ma co stać-rozkazał komendant-wracamy do zajazdu.*
*I tak jak grupa szybko dobiegła na miejsce tak teraz bardzo powoli wracaliśmy do zajazdu. Zwłaszcza ja wracałem powoli. Kiedy wreszcie udali nam się dojść, siadłem z powrotem do kaszy.*
*-Straż zbiórka w karczmie!!-zawołał Rigo. Podszedł do naszej grupki cywili.-Będziecie musieli wyjść.*
*-Ja nie wychodzę-zapowiedziałem-wyrzuciliście mnie jak jadłem wcześniej to chociaż teraz skończę.*
*Najemnik spojrzał na mnie po czym odszedł do reszty oddziału. Po chwili pojawił się komendant. Nie był zadowolony.*
*-Co to miało znaczyć, co? Może ktoś mi wyjaśni dlaczego zakon Indry aresztował moich ludzi?*
*Strażnicy niepewnie spojrzeli po sobie.*
*-Sami w sumie nie wiemy-powiedział ktoś.*
*-Że co?-komendant nie krył zdziwienia i oburzenia.*
*-No przyszli,-Hodo podchwycił tę linię obrony. Nie chciał po prostu wtajemniczać-pokazali nakaz, wyczytali nas i jeszcze kilku cywili i tyle. Cywili nie było w tym czasie, więc wzięli tylko nas. Potem zamknęli nas-ciągnął masując nadgarstki-i po kolei pojedynczo przesłuchiwali. Taka jest prawda.*
*-Oj czuje, że prawda wcale taka nie jest. Zastanówcie się nad tym czy chcecie mi coś jeszcze powiedzieć, bo później juz nie będzie, że boli.*
*-Tak jest.*
*-To wszystko?-zapytał.*
*-Tak jest.-skłamał Hodo.*
*-W takim razie, całość wstać! Sława Cesarzowi!*
*-Sława!-odpowiedzieli chórem wojacy.*
*Komendant opuścił karczmę, a Strażnicy momentalnie przeszli do planowania dalszych misji. Zawołano natychmiast wicehrabiego, aby powtórzył raz jeszcze wskazówki podane przez Wiedzącą. Strażnicy usłyszeli je już raz, ale emocje wywołane odprawą kapitana spowodowały, że słowa te*

*uleciały jak bańka mydlana. Zasiedliśmy wspólnie do stołu i myśleliśmy. Jedni sądzili, że trzeba szukać kopalni do której prowadzą krzaki malin, a taką już raz mijaliśmy. Inni uważali, że ślad kłów i pazurów to jakaś grota potwora, w której znajduje się dalsza pomoc w znalezieniu Smoka. Jeszcze inni usiłowali znaleźć te miejsca spacerując po okolicy co zostało natychmiast wyśmiane. Pozostało zawołać Mapnika. Mapnik, zwany Jarlosem był niewysokim człowiekiem, łucznikiem, który w oddziale Straży pełnił funkcję zwiadowcy. Żartem mówiliśmy, że jego orientacja w terenie odzwierciedla inteligencję reszty grupy co znajdowało poparcie kiedy widzieliśmy kapłana Shamarotha szarżującego z buzdyganem. Po chwili Mapnik pojawił się ze swoją mapą i przeszliśmy do obserwacji okolicy. Szukaliśmy jakiegoś dużego szczytu, większego od innych oraz jakiejś kopalni. Kopalni było całe mnóstwo, więc postanowiliśmy odłożyć ją na drugi plan. Yngvild z jakiegoś powodu wyszła, ale nie przejęliśmy się tym zbytnio zajęci mapą. Siedzieliśmy, herbata za herbatą mijał czas i nic nie ułożyliśmy. Była godzina przed północą kiedy udałem się do ogniska, posiedzieć, pogadać. Niestety, moje marzenia legły w gruzach.*
*-Abel, choć, jakiś facet szuka chanysa.-do wartowni wszedł Rigo.*
*-Idę-powiedziałem wstając.*
*W karczmie był już śmietanka towarzyska, Sigbert, Hodo, Zibbo, Borys, a wszyscy skupieni dookoła mężczyzny w czarnym płaszczu i czarnym kubraku.*
*-Abel, jest wampir.-zawołał Hodo odłączając się na chwilę od rozmówców.*
*-Jakieś szczegóły?-zapytałem.*
*-No, ten człowiek jest ponoć specem od potworów i ma sposób na ubicie maszkary, a my mamy jedynie go ogłuszyć.*
*-Niby jak?*
*-Kazał nasmarować broń czosnkiem.-odpowiedział.-To jest Abel, jest on naszym magiem i specjalistą od potworów-przedstawił mnie chorąży.-pójdzie z nami tak na wszelki wypadek.*
*-W porządku, ale mag na niewiele sie przyda.*
*Wtedy już wiedziałem, że kłamie. Jedynym stworzeniem na które nie działa magia jest golem, a i to nie zawsze, bo już chanaccy magowie szykują zaklęcia wyłączające golemy. Zastanawiałem się chwilę co zrobić z tym fantem. Zdemaskować oszusta przy wszystkich, odciągnąć Hoda i powiedzieć mu, że jest w tym podstęp czy tez pójść i wspomóc Strażników w walce. Pomny na mój sen wybrałem ostatni wariant i zacząłem razem z innymi przygotowania. Półgodziny do północy mieliśmy być gotowi.*

**********

*Droga nie dłużyła się specjalnie, a gwiaździsta noc dostarczała pięknych widoków. W ten przemiły sposób dotarliśmy do starego cmentarza osady, zarośniętego gdzieniegdzie, niektóre groby były zapadnięte inne połamane. Idąc dalej spotkaliśmy kobietę, która "sprzątała" groby. W duchu wiedzieliśmy, że to hiena cmentarna, ale nie to było naszym zadaniem.*
*-Przyszliśmy tu, aby znaleźć grób kogoś złego-tłumaczył drużynę Hodo. Drużyna czyli Sigmart, Sigbert, Hodo, Zibbo, Yngvild, Rigo, Borys oraz ja wyżej podpisany.*
*-Uuu, drużyna dzielnych wojów szuka kogoś złego.-zaśmiała się.-Ja tu tylko sprzątam.*
*-Ale może wiesz gdzie sie znajduje taki grób?-dopytywał chorąży.*
*-Ano jest taki jeden, podobno bardzo zły człowiek. Pochowano go za cmentarzem, żeby świętej ziemi nie bezcześcić.*
*-Gdzie to jest?-padło pytanie.*
*-A, kawałek za cmentarzem przy głównej drodze. Ludzie mówią, że to był bardzo, bardzo zły człowiek.*
*W głosie kobiety czuć było lekką nutkę kpiny.*
*-Dobra, idziemy-krzyknął Hodo.-Oddział w tył zwrot.*
*Oddział obrócił się i pomaszerował drogą którą przyszedł. Ja trzymałem się tyłu, bo wiedziałem jak szybkie potrafią być wampiry. Nie chciałem zginąć tylko pomóc im nie zginąć. Wyszliśmy z lasku i weszliśmy na niewielki płaski teren ograniczony z prawej stromą skarpą, a z lewej zboczem*

*porośniętym roślinnością.*
*-Hej coś tam jest-powiedział Rigo-zaraz zo...*
*I nie zdążył zobaczyć, bo niewielki wybuch rozerwał nocne powietrze. Nagle zobaczyliśmy w kłębie dymu wysoką szczupłą postać. Za pasem miała szablę, a na sobie kontusz, ubiór szlachty w północno-zachodnim Cesarstwie. Mężczyzna podszedł do nas i wyszczerzył kły. Na ten widok drużyna zrobiła krok w tył i wielkie oczy.*
*-Witam, witam szanowną kolację-zasyczał.*
*Sigmar wyskoczył z szeregu wierząc w słowa łowcy zaczął okładać wampira swoim młotem. Ten zaś w błyskawicznym uniku przebiegł pod bronią i zaatakował. Nie było szans dla barbarzyńcy. Następni skoczyli Rigo i Borys, pomimo rozkazu chorążego. Borys wywinął szablą nad głową i uderzył raz, drugi, trzeci na nic. Wtedy wampir rzucił się na Borysa i ugryzł go w szyję. Kozak jęknął z cicha i padł. Rigo widząc taki obrót sprawy cofnął się do oddziału.*
*-Głupcy, starsze pokolenia były mądrzejsze.-zasyczał ponownie. Ktoś z szeregu wziął czosnek i rzucił nim w potwora.-Kocham czosnek. Powstańcie bracia i siostry.*
*Moje podejrzenia sie sprawdziły. Nie dość, że łowca był kłamcą i oszustem to jeszcze był wampirem. Podobnie zresztą jak kobieta ze cmentarza. Oboje teraz szli w naszym kierunku tworząc koło.*
*-Cholera-zaklęła Yngvild-chyba nasz łowca nas oszukał.*
*-Nie da się ukryć-odrzekł Hodo.*
*-No to jesteśmy w dupie-podsumował Zibbo.*
*-Zobaczcie, sami przyszli. Jacy zdrowi, jurni i jacy smaczni.-oblizał się łowca.*
*Zaczęła sie walka. Łowca w tygrysim skoku znalazł się między nami i próbował kogoś ugryźć. Parada, cios, parada, cios. Do znudzenia tak walczyliśmy, a raczej do momentu kiedy na nogach zostało nas czworo. Wampiry nadal krążyły dookoła.*
*-Osłońcie mnie-powiedziałem.*
*-Po co?-zapytał Zibbo odwracając się do mnie.*
*-Zobaczycie.*
*Wręczyłem pochodnię Ynvild, a saberę odłożyłem na bok. Mając wolne dwie ręce mogłem zabrać sie za zaklęcie.*
*-Torden agrandar vennisimi.-ryknąłem gestykulując.*
*Efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Wielki piorun jaki zesłałem z nieba na jednego z wampirów trafił go mniej więcej w szyję, tam gdzie chciałem. Dziwne, że wampir wyższy nie wyczół zagrożenia i nie umknął. Pozostała dwójka.*
*-No proszę, a jednak umiecie coś zrobić. Ciekawe co powiecie na to!-po tych słowach najwyższy wampir rzucił się w szereg. Szereg się rozwarł i poczęstował ostrą serią z żelaza. I wtedy mi sie przypomniało.*
*-Yngvild, wracamy do poprzedniego położenia.-poinformowałem cofając się za nich. Sięgnąłem za pas. Niewielki srebrny nożyk był tam gdzie zawsze.-Weźcie to.*
*Yngvild odwróciła głowę i przyjęła nożyk.*
*-Jak to nie pomoże to juz chyba zginiemy.*
*Położyłem saberę znów na ziemi i zainkantowałem ponownie. Kolejny wampir, tym razem najwyższy zachwiał się. Zachwiał i przewrócił. Na placu pozostał łowca. Obszedł nas z prawej i rzucił sie prosto na mnie. Oślepiający ból i zasnąłem. Kiedy się obudziłem, było po wszystkim. Yngvild, Sigbert i Zibbo chodzili od rannego do rannego i opatrywali ich. Kiedy podeszli do mnie zapytałem.*
*-I jaki wynik?*
*-Zgięli-cóż za niekompetencja, nieumarłego nie można zabić, można go co najwyżej zniszczyć-ale ostatni, ten duży uciekł.-odpowiedział Zibbo.*
*-No to jest źle. Mamy cztery godziny.*
*-Na co?-zapytała Yngvild. Była co najmniej wstrząśnięta tymi wydarzeniami, ale dzielnie trzymała się na nogach.*
*-Na uleczenie. Po czterech godzinach każde z nas w kolejności jak nas pogryziono przyłączy się do*

*tej trójki-powiedziałem wskazując na pusty już plac.*
*-Cholera jasna. No to zwijamy się, biegiem.-Zibbo poganiał drużynę. Trzeci zdrowy, Sigbert stał obok i patrzył z wyższością na całe zajście-Może Varthanis zdoła coś z tym zrobić.*
*-Może, ale nie jestem pewien-powiedziałem wstając. Znalazłem moją saberę, po czym wyruszyliśmy. Droga powrotna minęła pod znakiem obmyślania kto zawinił i dlaczego właśnie my. Byłem zły na siebie, że nie udało mi sie zapobiec tragedii, bo mimo wszystko na ośmioosobowy oddział piątka była ranna i ulegała powolnemu zwampirzeniu. Kiedy dotarliśmy do zajazdu ustaliliśmy jedną wersję.*
*-Wampira nie było, łowca sie zmył-powiedziała Yngvild. Wszyscy pokiwali głowami na znak, że zrozumieli. Nie chciano wszczynać niepotrzebnie paniki. Weszliśmy do karczmy jak gdyby nigdy nic i usiedliśmy przy stole. Yngvild po cichu wysłała Sigberta po linę i Varthanisa, a Zibbo poszedł ze mną do namiotu po notatki odnośnie wampirów. Podczas moich wielu podróży miałem nie raz okazję spotkać wampira i nigdy nie było takich problemów jak teraz. Trzeba wiedzieć, że wampir to takie bardzo duże i bardzo silne zwierzę, które zaatakuje jak tylko poczuje strach. Błędem było maszerowanie w takiej dużej grupie, bo wampir wyczuje zawsze jedną, dwie wystraszone osoby i wtedy koniec. Kedy wychodziliśmy z namiotu usłyszeliśmy ryk. To Rigo przechodził trudny okres ząbkowania, powoli jako pierwszy stawał się wampem. Kiedy wróciliśmy zastaliśmy Varthanisa siedzącego nad zwojami oraz Sigberta trzymającego nóż nad szyją Riga. Najemnik wierzgał się i rzucał jak tylko mógł, ale ból wynikający z obecności srebra ogłuszał go. Reszta grupy trzymała sie dobrze i z tej okazji została ogłuszona, ja siedziałem pod strażą Zibba i wertowałem notatki.*
*-Chanie,-zaczęła gwardzistka-musimy was związać.*
*Poprowadzono mnie do słupa który wzmacniał konstrukcję karczmy. Pamiętam, że pomyślałem, że to nie jest najlepszy pomysł, aby nas tam przywiązywać, bo możemy zniszczyć budynek. Następną godzinę pamiętam jak przez sen, modliłem się mantrą o ochronę, abym pozostał człowiekiem. Zibbo przypominał chorążemu najpiękniejsze obrazki z życia krasnoludów, aby te nie odszedł. Varthanis co chwila krzyczącego: "Jeszcze nie!", twarz Sigberta z moim nożykiem w ręku, Miję i Riena obserwujących to wszystko z ławki, Riga uciekającego z karczmy, pojawienie się Candice i opóźnianie zwampirzenia, odzyskanie Shamarotha i egzorcyzmy, na końcu umysł wrócił na miejsce, przestał krążyć w okolicach żołądka i udało mi się usiąść na ławie. Po drodze mijając Miję i Riena usłyszałem:*
*-Wybacz Ablu, miałeś rację, wampiry istnieją.*
*Nie było to specjalnie odkrywcze, bardziej zaciekawił mnie stan umysłu przez ostatnią godzinę. Odniosłem wrażenie jakby część mojej duszy została zawładnięta prze owego najwyższego wampira i przejmowała kolejne kawałki duszy w posiadanie. Mówił do mnie, nakazywał mi co mam robić. W między czasie słyszałem jeszcze inny głos, donośny, poważny mówiący, że mam pozostać sobą. I to ten właśnie głos pozwolił mi pozostać przy ludzkiej postaci. Potem pojawił sie Shamaroth i głos stracił władzę nad duszą, stał się malutki i nic nie znaczący. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że w odpowiedniej chwili przy odpowiednim układzie czynników głos może odzyskać siłę i władzę. Poszedłem do namiotu i modliłem się, długo w podzięce za ratunek.*

*<u>8 dzień Lammas</u>*

*Po wydarzeniach nocy dzień nastał równie obrzydliwy. Padało, a uczucie to potęgowało się wraz z wiatrem. Wstałem i poszedłem umyć się. Po powrocie zastałem współlokatorów... śpiących. Nie zdziwiłem sie specjalnie, pomodliłem się, po czym obudziłem ich na śniadanie. Nie spałem dobrze. We śnie glos nawiedzał nie wielokrotnie, drugi głos stawał w mej obronie. Chodziło o stanowisko wobec Smoka. Zła część duszy namawiała do nie mieszania sie w tą sprawę, chciała zniszczenia Cesarstwa przez zakon. Dobra część broniła mojej postawy i namawiała do dalszej pomocy żołnierzom. Zła strona nie zgadzała sie i od nowa. Tak minęła cała noc. Oczywiście miałem chwile wytchnienia, ale wtedy budziłem się przez deszcz. Słowem noc sennych i realnych koszmarów. Idąc do karczmy zmacałem szyję. Była jeszcze nadzieja, że to wszystko było tylko snem,*

*złym snem, który właśnie minął. Nie minął, dwie dziurki uporczywie widniały na szyi. Zakląłem w duchu i poszedłem dalej. Dotarłem do karczmy w dobry nawet humorze, reszta drużyny wybaczyła nam "dziwne" zachowanie z nocy, a w zamian za to uraczyliśmy ich opowieścią. Słuchali uważnie, a my jedliśmy, co nam się spodobało słuchaczom mniej. W każdym razie po skończonej opowieści role się odwróciły.*
*-A my dostaliśmy zlecenie.-pochwalił się Thork.*
*-Jakie?-zaciekawił się Shamaroth.*
*-Mieliśmy znaleźć córkę karczmarki.-zaczął krasnolud na co kapłan parsknął śmiechem- tak, a kiedy już znaleźliśmy ją to okazało się, że tam troll był.*
*-Aha, i co zrobiliście?-włączył sie Varthanis.*
*-No walczyłem, w jednej ręce pochodnia, w drugiej dwurak i go pokonałem-chwalił się dalej Thork. Cała okolica ryknęła śmiechem. Do rozmowy włączył się Rien.*
*-Juz nie kłam, nie kłam, bo wszyscy wiemy, że walczyliśmy wszyscy, a nie tylko ty. Co ty sobie w ogóle wyobrażasz, że możesz tak kłamać?-Thork się zmieszał.*
*-A jak to było w takim razie na prawdę?-zapytałem szermierza.*
*-No otoczyliśmy go w tej tam jaskini gdzie był i utłukliśmy po długiej walce.-szermierz powoli się uspokajał.*
*-I zostawiliście go tak?-zapytałem.*
*-No tak.*
*-No to gratuluje. Jak sądzicie, co zrobi wam wściekły troll?-zapytałem z ironią w głosie.*
*-Przecież on nie żyje nic nam nie zrobi.-oburzył się Rien.*
*-Troll panie szermierz ma niezwykłą wręcz zdolność regeneracji i... o której to się stało?*
*-Koło północy, trochę po waszym wyjściu.-szermierz zamyślił się nad tym.*
*-To w tej chwili mniej więcej troll ten budzi się właśnie w kałuży własnej zakrzepłej krwi.*
*-To co mieliśmy niby zrobić?-szermierz nie lubił być krytykowany.*
*-Trolla traktuje się albo mocnym kwasem, albo ogniem.-wytłumaczyłem.*
*-A mówiłem, żeby go podpalić, mówiłem.-wciął się Thork.*
*-Siedź cicho kłamco.-krzyknęła Mija zajadająca do tej pory chleb z kawałkiem mięsa.*
*Thork spotulniał i dalsza część posiłku przebiegła bez problemu. Przy wyjściu spotkałem się z Sigbertem, który po kontroli uzębienia oddał mi srebrny nóż.*
*-Tylko bez takich scen jak wczoraj.-powiedział i wyszedł. Wyszedłem chwilę po nim, bo zamieniłem słówko z Demonem, żyrownikiem tej karczmy.*
*-Śmierdzi tu czosnkiem czujesz-zapytał.*
*-Czuję, czuję. Tego nie da się nie poczuć Demonie.-odparłem z uśmiechem.*
*-Co wyście robili?-zapytał.*
*-A na wampira się szykowaliśmy.*
*-I musiało to tak śmierdzieć?*
*-No niestety.*
*Dalej rozmowy nie udało się pociągnąć, bo do karczmy wpadł kapitan i zwołał Straż, tym razem wyrzucając cywili. Siedzieliśmy więc na zewnątrz z Moną i Dinimem i żartowaliśmy oczywiście ze Straży. Po pół godziny drzwi się otworzyły i oddział wyszedł.*
*-Ablu-zaczął Hodo-będziemy Cię potrzebować.*
*-Mnie? A po co niby?-zamierzałem iść razem z resztą naszej drużyny po księcia.*
*-Dostaliśmy rozkaz znalezienia przyczyny dla której chłopom niszczej zboże-ciągnął poważnie chorąży.*
*-I kto sra do studni.-wtrącił wesoło Shamaroth. Po wczorajszej miksturze oczyszczającej miał dobry humor.*
*-Ehh, no dobra, dajcie mi chwilkę na zebranie materiałów, zaraz do was przyjdę.-powiedziałem wstając. Poszedłem do namiotu i wygrzebałem notatki, zwoje i inne przydatne rzeczy. Idąc do karczmy spotkałem Monę.*
*-Słyszałam, że nie idziesz z nami do księcia.-zaczęła.*
*-Nie, nie idę. Straż poprosiła mnie o pomoc, a skoro proszą to czemu mam odmówić. Zapomniałem*

*Ci wczoraj podziękować za uratowanie. Dziękuję i w razie potrzeby...*
*-Nie masz za co dziękować-przerwała stanowczo-byliście po prostu niebezpieczni dla otoczenia.*
*-Uważajcie na siebie. On może być niebezpieczny.-powiedziałem po czym skłoniłem się i odszedłem w kierunku karczmy. W środku siedzieli Yngvild, Hodo, Shamaroth i paru innych. Kiedy wszedłem do środka unieśli głowy i oczekiwali na werdykt.*
*-I jak, wiesz już co to jest?-niecierpliwił się Hodo.*
*-No właśnie, co sra do studni?-zaśmiał się Shamaroth.*
*-Panowie, ja dopiero zaczynam pracę, spokojnie-odpowiedziałem siadając niedaleko ich.*
*Niszczy pola. Szukałem takiego stwora pod Terafusem w Rowenii, strasznie trudna robota. Było to dzieło sporysza, niewielkiego stworka wzrostu dorosłego niziołka. Teraz niby miałoby być to samo? Wertowałem dalej notatki.*
*-Wiecie coś więcej odnośnie tego potwora, chcę wiedzieć wszystko!-powiedziałem znad papierów.*
*-No tylko tyle, że niszczy pola.-odpowiedziała Yngvild.*
*-I nic więcej? W jaki sposób to robi? Jak wygląda zniszczone pole?*
*-Nic więcej.*
*-Cholerny pies.-jęknąłem cicho mając na myśli kapitana.-Mamy więc kilka możliwości, zacznę od najmniej prawdopodobnej: może to być smok, którego wieśniacy zdenerwowali...*
*-Albo obudzili-powiedział Zibbo.*
*-Czyli zdenerwowali.*
*-Ej, ale ja czegoś nie rozumiem. Czemu smok jest mało prawdopodobny? Przecież jak najbardziej mógłby spalić te pola.-Shamaroth nie udawał, on na prawdę nie rozumiał.*
*-Smok, panie kapłan jest równie popularnym co wykształcony troll.*
*To porównanie wystarczyło kapłanowi.*
*-Następny na liście...-zacząłem*
*-Może oszczędź nam tego, a powiedz co jest przyczyną.-nie wytrzymał Hodo.-Nie mamy całego dnia na to.*
*-W porządku.-ja u pokarzę, oficer jeden-Na placu boju pozostaje sporysz, bardzo trudny stwór oraz sylvan, bardziej śmieszny niż niebezpieczny. Podejżewam, że to on odpowiada za studnie.*
*-No dobrze, a w jaki sposób się go pozbyć?-Hodo był troszkę bardziej zadowolony.*
*-Trzeba go przekupić jedzeniem, zostawcie to mnie.*
*-W porządku-powiedział Shamaroth.-Skoro się znasz to nie ma sprawy.*
*-Chwileczkę, to zadanie dostała cesarska Straż, a oddajemy ją chanackiemu "specjaliście"...*
*-Chorąży,-przerwała Yngvild-nie chcę przypominać, kto w nocy niemal nas uratował od zwampirzenia. Gdyby chciał się nas pozbyć zrobiłby to właśnie wczoraj.*
*Hodo wstał i udał się do wyjścia.*
*-Oddział ma być gotów do wyjścia za 10 minut.-powiedział i wyszedł.*

**********

*Droga do wioski przebiegała spokojnie. Nie natrafiliśmy o dziwo na żadne wraże wojska, żadnych bandytów nic. Kiedy zbliżaliśmy się do pola postanowiliśmy wysłać zwiad. Lasek dookoła dawał wspaniałą osłonę dla łuczników, więc musiliśmy byc ostrożni. Kiedy dotarlismy w końcu na pole moglismy mu sie blżej przyjżeć. Poszedłem sam, reszta zajęta była pilnowania swoich pleców. Zboże było połamane z lekkimi rdzawymi nalotami.-Sporysz-pomyślałem-Jednak jest tutaj. Pomyslałem nad egzorcyzmem. Byłem jedynie tafsir i nie mogłem odprawiać takich egzorcyzmów, ale kapłan Shamaroth tak.*
*-Coś tak jest, cos się rusza-spanikował Thork zostawiony na straży.*
*-Żyje to się rusza-mruknąłem i poszedłem w jego kierunku.-Jak wyglądało?*
*-Takie rogate...*
*-Sylvan. Jest za szybki dla nas, rozproszyć się!*
*-Chwila, to ja wydaję rozkazy.-żachnął się Hodo-Arandir, Jarkos z flanki reszta przodem, dopadniemy go.*

*Razem z łucznikami poszło po jednym wojowniku do osłony tak na wszelki wypadek.*
*-Pedały, czemu mnie gonicie-krzyczał silvan.*
*-A jak sądzisz-wyszczerzył sie Rigo.*
*-Ble.*
*-Nie ma ble, gonić go.-krzyczał Hodo.*
*Trzymałem się z tyłu, więc tylko słyszałem raz po raz "wszawe ryje" "pedały" oraz riposty Shamarotha "twoja stara pierze w rzece i suszy na kamieniu" "masz ryj, że mógłbyś dzieci straszyć" i wiele innych, ale próbowano również ugody.*
*-Dlaczego niszczysz pola?-zapytał Hodo, kiedy otoczyliśmy go w krzakach.*
*-Bee, bo tak mi się podoba.*
*-A mógłbyś przestać?*
*Gówno jakie przeleciało nam nad głowami oznaczalo chyba odmowę.*
*-Gonić go!*
*I zabawa zaczęła się na nowo. Biegłem z tyłu, bo w wyzwiskach musiałem ustąpić krasnoludom i najemnikom. Po diabolicznej wprost gonitwie na złamanie karku dopadł go Arandir.*
*-Co pedałku podobam ci się?-zagaił silvan.*
*-Nie, jesteś obrzydliwy.*
*-Ooo, jak niemiło-splunął elfowi na koszulę.-Masz wcinaj.*
*Dyskusja na temat pedałków i smaku trwała jeszcze parę minut po czym Candice sobie coś przypomniała.*
*-Mogę zrobić iluzję,-zaczęła-i nakłonić go do opuszczenia tych ziem.*
*-To znaczy?-dopytywał Hodo.*
*-To znaczy,-zaczęła topornie tłumaczyć półelfka-że powstanie piękna silvanka, która zachęci go do opuszczenia tej ziemi, powiedzmy do barbarzyńców.*
*Chorąży rozmarzył się nad tą myślą, miałby dwie pieczenie na jednym ogniu.*
*-No dobrze, do roboty.*
*Psioniczka skupiła sie, wypowiedziała słowa zaklęcia, wykonała kilka gestów. Powietrze zatrzeszczało lekko i pojawił się obiekt. Musze przyznać, że przyłożyła się do roboty nasza Candice i teraz silvanka rączo biegła w dół kotlinki.*
*-Beee, a kto wam powiedział, że jestem hetero?*
*Kompania wybuchła śmiechem poza Yngvild, którą to nie rozbawiło i Candice, która musiała rzucić drugie zaklęcie. Efekt był ciekawszy, to znaczy reakcja silvana była ciekawsza. Zaczął się mocniej szamotać i po chwili już biegł w dół kotlinki za silvanem.*
*-To na nic-powiedziałem-on tutaj wróci.*
*-Dlaczego? Po co?-zapytał Zibbo podnoszący Arandira. Ten wyrwał się z jego objęcia i sam wstał.*
*-Po pierwsze, bo iluzja przestanie działać za dziesięć do piętnastu minut i będzie chciał tu wrócić. Po drugie, znudzi mu się po prostu.*
*Towarzysze spojrzeli po sobie.*
*-To co sugerujesz?-zapytał Shamaroth-nie można go tak przecież zostawić.*
*Miał rację. Złapać silvana było co najmniej trudno, a oszukać go jeszcze trudniej. Za taka zniewagę będzie chciał zemścić się na wieśniakach. Przypomniało mi sie dzieciństwo, a raczej lata szczenięce. Przypomniało mi się moje pierwsze spotkanie z faunem, jaki to ja byłem wtedy podniecony. A ta druidka, jej imię? Nie mogłem sobie przypomnieć w tej chwili, ale przed oczami zamajaczył mi ołtarzyk zbudowany z gałęzi i przydrożnych kamyków. Cos jeszcze tak było, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Na ołtarzu były owoce leśne:maliny, porzeczki, jabłka oraz poziomki. To było piękne lato. Ale wróciłem do brutalnej rzeczywistości otoczony Strażnikami oraz innymi zwierzątkami. Trzeba było zbudować ołtarzyk na kształt tamtego. Tutaj pomocny okazał się Varthanis. Poznosiłem mu materiały, a on zajął się budową. Poprosiłem w międzyczasie Borysa i Riga o pomoc, mieli pójść w las i nazbierać owoców. Tymczasem ja powróciłem do budowy i tym sposobem po około 20 minutach koło drogi stanął nieduży, wręcz mały ołtarzyk. Na nic więcej nie mieliśmy po prostu czasu. Spojrzałem nań i uznałem, że czegoś brakuje, ale nie bardzo wiedziałem czego. Zauważyłem, że Rigo z kozakiem nadal stoją tam gdzie stali i ponagliłem ich. Potem drugi*

*raz i trzeci. W końcu zostawiłem saberę i fragment notatek odnośnie diaboła przy ołtarzu, a sam poszedłem po owoce. Nie bałem sie, bo w przeciwieństwie do stworów brutalnych i bezwzględnych silvan nie lubował sie w przemocy, a raczej jej unikał. Poza ty zawsze mogłem spróbować go opętać, a samemu uciec do reszty. Nazbierałem jednak malin, a Yngvild z Zibbem w tym czasie zdobyli jabłka. Czegoś jednak mi brakowało... Ułożyliśmy owoce na ołtarzu i chwilę przy nim zostaliśmy.*
*-Jaką mamy gwarancję, że on nie powróci?-zapytała gwardzistka.*
*-Stuprocentową-odpowiedziałem, bo faktycznie byłem pewien tego.*
*-No nie wiem-zwątpił kapłan.-Ja bym to utwierdził jakimś zaklęciem.*
*Cholerni durnie, wszystko zniszczą. Ale dobrze, nie ja będę wysłuchiwał od dowódcy ale oni.*
*-Candice?-gwardzistka spojrzała na półelfkę proszącym wzrokiem.*
*-Mogę zaczarować owoce tak, że po ich spożyciu będzie musiał jak najszybciej dostać się-psioniczka zamyśliła się na chwilę-do barbarzyńców.*
*Posmutniała twarz Hoda rozpromieniała wręcz na tę propozycję.*
*-Mi to pasuje-powiedział. Reszta grupy niemo zgodziła się z nim.*
*Idioci! Silvan nie jest TAK głupi, żeby jeść zaczarowane jedzenie. Pozostawało tylko być w miarę daleko kiedy tu wróci.*
*Candice rzuciła zaklęcie, po czym drużyna opuściła to miejsce. Stałem jeszcze chwilę i zastanawiałem się. Co zrobiłem źle, co jest nie tak jak powinno być? Nie wiedziałem wtedy jak poważna może być słaba pamięć.*
*Kiedy wróciliśmy z powrotem na drogę wzdłuż zagajnika usłyszałem krzyk Thorka stojącego na czatach.*
*-Tam jest, tam pobiegł.-krzyczał wskazując zarośla.*
*-Zostawcie to-krzyknąłem i wyjąłem szablę zza pasa.-Trzymaj!-powiedziałem dając wojakowi broń.*
*Pobiegłem kawałek we wskazanym kierunku, ale nic nie znalazłem. Cholerni bandyci, nie potrafią nawet lasu uszanować.*
*-Uciekł-mruknąłem cicho wyrywając swoją saberkę.-Cholera uciekł, nie potraficie się nawet cicho zachować.*
*Dalsza podróż minęła pod znakiem wzajemnych rozmów na temat upodobań i języka diaboła aż do pewnego momentu.*
*-Ale one chyba nie są...-urwał Shamaroth, bo w oddali usłyszeliśmy echo wybuch.*
*-Ile do zajazdu?-zapytał Zibbo.*
*-Z dziesięć minut marszu.-usłyszał odpowiedź.*
*-No to lecimy, będziemy w pięć.-chorąży wydał szybko komendy i oddział utrzymując szyk dwójkowy biegł przed siebie.-Każdy pilnuje swojej strony. Jak cokolwiek zauważycie to mówić natychmiast.*
*Oddział bez słowa biegł dalej. Kolejny huk. Kilka osób zaczęło dawać znać, że dalej nie dadzą rady.*
*-Ci co mogą biec...-Hodo zawahał się chwilę.-Nie, nie możemy się rozdzielić. Zwolnić!*
*I zwolniliśmy na nowo do tempa marszowego nie zważając na to, że w zajeździe może właśnie mieć miejsce wielka rzeź. Jednakże kiedy dotarliśmy na miejsce wszystko było w porządku i nic nie wskazywało na działanie jakichkolwiek wrażych sił.*

**********

*Po powrocie do zajazdu Strażnicy znów zniknęli w karczmie wyrzucając nas za drzwi.*
*-Cholera, kiedyś się doigrają-pogroził Edric idąc do ogniska. Paliło sie ono praktycznie cały dzień i całą noc, bo przemoknięte ubrania właśnie tam osuszały się. Nie miałem nic do stracenia, poszedłem tam razem z resztą cywili. Chwilę później zobaczyliśmy komendanta wychodzącego z karczmy i odchodzącego drogą.*
*-No to kto idzie się napić?-rzucił Dinim.*
*-Ja idę-odpowiedziałem-Edricu?*
*-Mogę pójść-odpowiedział mężczyzna-wicehrabio?*
*-Ja chyba zostanę.-szlachcic przysiadł na pieńku i zamyślił się.*

*-To ja też zostanę-zdecydował Edric.*
*-A ja idę-powiedziała Mona wstając.*
*I tak w trójkę poszliśmy do wolnej już teraz karczmy. Wolna była jednak jedynie od kapitana i na wstępie zostaliśmy powitani przez stanowcze "Won!" pod naszym adresem. Odpowiedziawszy równie stanowczo usiedliśmy przy stole i zaczęliśmy rozmawiać.*
*-Póki co trzeba się trzymać tej wersji, chyba, że będzie trzeba to powiemy prawdę-ciągnął dalej rozmowę Hodo. Reszta Strażników pokiwała głowami na znak, że rozumieją.*
*-Ale teraz trzeba sie zająć sprawą podpowiedzi do Smoka.-powiedział Borys.-Może warto zawołać wicehrabiego?*
*-Tak.-powiedziała Yngvild.-Niech ktoś po niego pójdzie.*
*Nikt się nie kwapił, ostatecznie poszedł Jarlos stojący przy drzwiach.*
*-I nie zapomnij o mapie!-krzyknął Hodo na odchodne.*
*Wstałem od stołu i przeprosiłem współtowarzyszy.*
*-Co jest, znowu coś skopaliście?-zapytałem grupki Strażników rozsiadających się już za stołem.*
*-Spadaj chanie!-warknęła Yngvild.*
*-Heh, nawet nie potrafią ciała się pozbyć-doskonale wiedziałem co się wydarzyłao na Górze Kapliczki.*
*-No naprawdę, ty zrobiłbyś to o wiele lepiej.-odpowiedział chorąży. W tym samym momencie do karczmy wszedł wicehrabia Rasgalen oraz Mapnik ze swoją mapką okolicy.*
*-Witaj hrabio!-zaczął chorąży-potrzebujemy twojej pomocy.*
*-Słucham.-Fein Rasgalen oparł sie o blat stołu.*
*-Czy mógłbyś powtórzyć jeszcze raz treść podpowiedzi jakie uzyskałeś od Wiedzącej?*
*-Oczywiście.-wicehrabia powtórzył obie podpowiedzi, po czym towarzystwo usiadło nad mapą.*
*-Szukamy wysokiej góry na szczycie której jest sztolnia-zaczął Zibbo.*
*-Dlaczego sztolnia?-zapytała Yngvild.*
*-"Tam, gdzie wnętrze ziemi wychodzi na powierzchnię"-zacytował krasnolud.*
*-No dobrze to szukajmy.*
*Siedzieliśmy tak dobre 20 minut, aż ktoś zauważył.*
*-A ta druga? "We wnętrzu ziemi, obmywa ją woda..." to na pewno będzie jakaś kopalnia.*
*-Wszyscy zgodzili się z tą wersją.*
*-Ale to w takim razie czym będzie ta pierwsza?-zapytałem.*
*-Podejrzewam, że skały-odpowiedziała Yngvild i gestem ręki wskazała mapę.-jest ich tu całe mnóstwo.*
*-Wręcz za dużo, żeby każde z nich przeszukiwać.-odpowiedział smętnie chorąży-to bez sensu.*
*-Czekajcie!-przerwałem-jak idzie końcówka drugiej części?*
*-"Ślad kłów i zębów poprowadzi was"-zacytował wicehrabia.*
*-Patrzcie!-powiedziałem wskazując dwa miejsca na mapie. Pierwsze, osada Kieł i drugie szlak Zębów.*
*-Dobrze-powiedziała Yngvild z drugiej strony stołu-jak na chana całkiem dobrze.*
*Miałem ochotę kopnąć ją pod stołem, ale się powstrzymałem.*
*-No dobrze, mamy tu trzy sztolnie-wskazał Zibbo na mapie-która jest nasza?*
*-Nie wiemy, wiemy tylko tyle, że to sztolnia w tej okolicy. Droga tam wygląda dobrze-chorąży spojrzał na mapę-tak sądzę przynajmniej.*
*-No cóż, trzeba będzzie sprawdzić wszystkie.-zasugerował Zibbo.*
*-A tamta pierwsza zagadka?*
*I towarzystwo powróciło do intensywnego myślenia. Musiało to wyglądać śmiesznie, bo po chwili dopiero usłyszeliśmy śmiech Gadjunga, który cichcem wszedł do środka. Nie przepadałem specjalnie za tym osobnikiem, moze ze względu na jego wrodzoną odporność na magię, która powodowała dreszcze na karku.*
*-Przydałbyś się na coś, a nie śmiał. Idź po Obieżyświata!-rozkazała Yngvild. W międzyczasie Hodo zaczął głośno myśleć.*
*-"Wnętrze ziemi wychodzi na powierzchnię" to niewątpliwie chodzi o skały. Skał jest wiele w tym*

*rejonie. "Owiewany przez wiatry i grzany przez słonce" to jest góra, duża góra... Wiem!-krzyknął w końcu.-Trzeba szukać malin w nazwach gór.*
*Było to tylko kwestią czasu jak wprawione oko w szukaniu malin zauważyło w kącie mapy górę Malinową.*
*-Świetnie-powiedziała Yngvild- teraz mamy już wszystko. O jest i Obieżyświat.*
*Piętnaście minut później połączone siły cywili i wojskowych wyruszyły w kierunku odpowiednio: chorąży do sztolni, a Obieżyświat na Malinową.*

**********

*Wyruszyliśmy jak najszybciej było to możliwe. Oczywiście nie bez problemów. Okazało się, że nasza prześwietnie zorganizowana wyprawa nie przygotowała mapy. Więc poleciałem na łeb na szyję w dół, aby dogonić drużynę do sztolni. Usłyszałem jednak, że oni mają tylko jedną mapę i się nie podzielą. No to Obieżyświat musiał sie cofnąć do zajazdu i gdzieś spod lady wygrzebał jakąś mapę okolicy. W ten sposób oto wyruszyliśmy z niewielkim, pięciominutowym opóźnieniem. Droga była bardzo ładna, skalista pod górkę.*
*-Lepiej nie będę zakładał rękawic.-powiedział Sigbert maszerując obok mnie.*
*-Dlaczego?-zapytałem.*
*-Zawsze zakładam je na chwilkę przed zasadzką.*
*-To nie zakładaj ich lepiej.*
*Dalsza droga minęła w miłej atmosferze, rozmowa zbaczała momentami na tematy bardzo abstrakcyjne, ale nikt nie narzekał. W końcu przed nami stanął ostatni odcinek: stroma droga, a na jej końcu skały. Szybko pokonaliśmy ten kawałek drogi i zaczęliśmy eksploatację. Uznaliśmy, że to są te skały i szukaliśmy czegokolwiek co mogłoby nam pomóc w dalszych poszukiwaniach Smoka. Huk.*
*Wszyscy unieśli głowy do góry i zaczęli wypatrywać skąd to dobiega. Byłem po drugiej strony skały i musiałem jakoś przedostać się do naszych. Po krótkiej wspinaczce doszedłem do reszty.*
*-Idziemy?-zapytał Omus.*
*-Nie wiem, myślę.-odpowiedział Obieżyświat.*
*-Ale ktoś tam stoi.*
*-A skąd do diabła wiesz jakie ma zamiary? Może czeka akurat aż zejdziesz?*
*Droga w dole była zarośnięta lekko, ale było widać trzy wysokie sylwetki. Zdawały się zapraszać nas do siebie.*
*-Dobra, schodzimy dwoma grupami.-wydał komendę Obieżyświat.*
*O wyciąganiu broni nie musiał nawet wspominać. Grupa zabijaków aż rwała się do bitki. Wraz z Obieżyświatem i Sigbertem zbiegliśmy jako pierwsi na drogę. Postacie cofały się.*
*Huk.*
*-Dalej, bo nam uciekną-poganiał Omus.*
*Niestety nikomu nie chciało się dalej biec, a nawet jeżeli to bardzo umiejętnie to maskował.*
*-Nasze zadanie to zbadanie skał, a nie walka ze wszystkim co napotkamy.*
*Chcąc nie chcąc Omus przyznał rację i razem z Arandirem i kilkoma innymi osobami udał się do skał.*
*-Ładna pogoda-zagaiłem do rozmowy. Istotnie był to jeden ze słoneczniejszych dni jakie widziałem w Silberberg.*
*-No, ale ze wschodu idą chmury.-odpowiedział siedzący nieopodal Sigmar. Rycerz Sigbert wyglądał na mocno zaniepokojonego czymś.-Ciekawe kim byli ci ludzie?*
*-Może strażnikami tajemnicy artefaktu?-zasugerowałem.*
*-Niee, chyba nie.-odpowiedział wojownik.-Ej, Varthanis, nie byli to czasem banici, których spotkaliśmy wtedy, no w lesie?*
*-Nie wiem...-nekromanta wyglądał na znudzonego. Dopiero wczoraj dowiedziałem się kim jest na prawdę, gdyż usłyszałem jak powtarzał zaklęcia. Salva vennisimi oznaczało w ustach maga życia uzdrowienie. A Varthanis nie wyglądał na maga życia. Noszący się w ciemnych zwiewnych szatach*

*przypominał szkieletora ożywionego za pomocą magii. W sumie to sami idioci tworzą prawo w Cesarstwie, bo zakazanie całkowicie nekromancji trąci absurdem i to mocno. W Chanacie zakazane były jakiekolwiek próby tworzenia nieumarłych armii, ale w celach badawczych była to bardzo często stosowana magia. Niemniej jednak był to kolejny powód dla którego uważałem, że Cesarstwo upadnie, a przynajmniej miałem na to nadzieję. W trakcie tych rozważań ze skłki wrócili badacze.*
*-Mamy notatki-powiedział Arandir klepiąc zieloną sakwę przyczepioną do pasa.*
*-Świetnie, to jest w tej chwili najważniejsza rzecz, tego musimy bronić.*
*Obieżyświat zaproponował wrócić na poprzednią drogę troszkę inną metodą niż cofnięcie się. I tak po kilku chwilach wspinaliśmy sie raźno pod górkę z powrotem na drogę. Przy samym podejściu rozproszyliśmy się, aby lepiej zbadać okolicę. Na drodze zaczęliśmy się powoli ustawiać w szyk dwójkowy, kiedy usłyszeliśmy kolejny wybuch całkiem blisko.*
*-Formować szyk, musimy przyjść przez te krzaki.-zakrzyknął Sigbert, który na tę chwilę przejął dowództwo w oddziale.-Szyk trójkowy!*
*-Trójkowy nie przejdzie, dwójkowy proponuję.-powiedziałem.*
*-Racja, dwójkowy w takim razie.*
*Stanąłem ramie w ramię z Gadjungiem. Przebiegły mnie dreszcze.*
*-Każdy pilnuje swojej strony!-krzyczał dalej rycerz.*
*Kolumna ruszyła najeżona ostrzami mieczy. Z przodu Sigbert w kolczudze z Zerwikapturem wydawał kolejne rozkazy.*
*-Uwaga, zaraz wyjdziemy z krzaków!*
*Kiedy faktycznie wyszliśmy na otwartą przestrzeń zobaczyliśmy, że nikogo nie ma.*
*-Rozwiązać szyk, szybki marsz!*
*Szyk zrobił się znacznie luźniejszy i mogliśmy szybko przemierzyć dystans do powalonego drzewa.*
*-Omus, idź na zwiad.-powiedział Obieżyświat.*
*-Dlaczego zawsze ja?-nikt nie wiedział co fałszerz miał na myśli.*
*-Idź i tak, żebyś nam ze wzroku nie uciekł.*
*Omus odszedł kawałek, potem większy, potem w ogóle był daleko. Obejrzał sie parę razy, ale ciągle szedł na przód.*
*Kolejny wybuch.*
*-Idziemy-wydał rozkaz Sigbert-wyrównać do zwiadowcy.*
*Wyrównaliśmy, a Omus odbiegł dalej. Z prawej strony widzieliśmy trzy postacie wychodzące na drogę.*
*-Cholera idą za nami-powiedział Sigmar poganiając idącego obok Varthanisa.*
*-Jak dojdziemy do szczytu to biegniemy. Szyk trójkowy, równe tempo, rozumiecie?*
*Brak odpowiedzi często bywa odpowiedzią i tak było w tym przypadku. Oddział biegł, maszerował, biegł, maszerował i tak aż do zajazdu. Pościg zgubiliśmy już po połowie drogi, więc nie martwiliśmy się o nic. Rękawice Sigberta spoczywały nadal za pasem...*

**********

*Kiedy weszliśmy do karczmy była tam już brygada sztolniowa.*
*-I co? Macie te papiery?-zapytał Hodo w drzwiach.*
*-Taak, Arandir ma jakieś pół tekstu.-odpowiedziałem po czym usiadłem i napiłem się. Z wielką radością patrzyłem na smutne twarze Borysa, Riga i Shamarotha obserwujących jak złoty płyn wlewa mi się do gardła.-Macie pieski, macie-pomyślałem patrząc z ukosa na kapłana-macie swoją służbę w końcu, żołd wam zbrzydnie, zatęsknicie za starymi nawykami. Był to tylko mocno sfermentowany kompot jabłkowy z jakimiś dodatkami smakowymi, ale nawet tego nie wolno im było wypić. Przy jednym ze stołów siedziało towarzystwo "elitarne" czyli ta część Straży, która jeszcze jako tako myślała. A byli to: Yngvild, Hodo, Zibbo, Arandir, Shamaroth i ktoś jeszcze. Widok jaki prezentowali był rozbrajający: kilkoro w miarę dojrzałych ludzi próbuje połączyć ze sobą połówki tekstu. To znaczy kilka kartek zostało przedzielonych na pół, a oni usiłowali je połączyć. Najłatwiej im poszło tam gdzie były obrazki. Podszedłem, aby się im przyjrzeć z bliska.*

*-Spadaj chanie!-warknęła Yngvild-czego szpiegujesz?*
*-Ja? Ja nie szpieguję, odczep się-powiedziałem siadając. Chciałem trochę podnieść poziom rozmowy.*
*-Możesz odejść?-zapytał Hodo-Zajmujemy się sprawami ważnymi dla CESARSTWA, a więc jesteś co najmniej zbędny.*
*Odszedłem więc i usiadłem przy ognisku. Grupka ludzi i nieludzi zawzięcie dyskutowała.*
*-Musimy jutro udać się do alchemika, aby zyskać odtrutkę-Mona usiłowała przekonać resztę do swoich racji.*
*-I co on nam niby pomoże?-zapytał Edric.*
*-No tyle, że stworzył tą trutkę i powinien wiedzieć jak stworzyć odtrutkę.*
*-A co się stało w ogóle?-zapytałem po chwili konsternacji.*
*-A, bo ty ze Strażą byłeś.-powiedział Omus-Jak silvan?*
*-Zaraz wam opowiem, ale najpierw o co chodzi z tym alchemikiem?*
*-No więc-zaczęła Mona.-Poszliśmy na wskazane miejsce eskortować księcia.*
*-W wyniku pewnych nieporozumień-ciągnął Edric-zginął jego giermek, a on sam został upity.*
*-I przepytany-dorzuciła alchemiczka.-Dowiedzieliśmy się, że alchemik w dolinie miał stworzyć pewną miksturę dla jego matki.*
*-A mamusia bardzo dba o swojego synka-zakpił Omus.*
*-I podejrzewamy, że to ona stoi za truciem górników, a alchemik stworzył tą trutkę.-skonczyła Mona.*
*-Aha, to wiele tłumaczy.-podsumowałem-To kiedy wizyta u alchemika?*
*-Jutro-w końcu odezwał się wicehrabia siedzący dotychczas cicho.-O ile Obieżyświat się zgodzi.*
*-Oj, zgodzi sie na pewno. Pytanie tylko czy zechcesz zapłacić panie-zażartował Edric.*
*-To co z tym silvanem?-zniecierpliwił się Dinim.*
*Opowiedziałem im całą historie z diabołem nie szczędząc w niej głupoty Strażników. Kiedy kończyłem wszyscy byli bardzo radośni.*
*-W końcu spotkali się ze swoim prawdziwym obliczem-mruknął ktoś w kącie wartowni-czyli gównem.*
*Te słowa wywołały kolejną salwę śmiechu. Kiedy w końcu się uspokoiliśmy przyszła kolej na kolację. W trakcie posiłku obie grupy wzajemnie się przechwalały swoimi osiągnięciami, kto był najdzielniejszy w sztolni, a kto najszybszy w biegu z Malinowej. A ja po prostu jadłem nie zwracając wielkiej uwagi na to co kto mówi dookoła mnie. Po posiłku zostałem w karczmie, aby jednak mimo wszystko podczepić się pod Straż i pomóc im w tym zadaniu, bo sobie widocznie nie radzili.*
*-Znowu ty?-jęknął Hodo-dobra siadaj.*
*-Trzeba zrobić listę rzeczy potrzebnych na to wyjście.-ciągnął Arandir.*
*-Najpierw to trzeba określić gdzie idziemy.-sprostował Zibbo.-Bo jak na razie to idziemy donikąd.*
*-Pokarzcie-powiedziałem. Hodo westchnął po czym obrócił kawałek papieru w moją stronę. Dwa kawałki papieru. Składały się one w jedną całość, czyli rysunek wulkanu, pod nim jeziorkiem, z lewej strony górami, a prawej równiną. Z prawej strony właśnie widniał napis "Ventus".*
*-Ventus znaczy wiatr-powiedziałem. A więc te pozostałem-wskazałem na trzy kolejny słowa-oznaczają trzy kolejne żywioły. Nad wulkanem ogień-Zibbo notował na przygotowanej kartce-dalej ziemia od strony gór i woda nad jeziorkiem-z jeziorka wypływała kręta wstążka rzeczki.-Podejrzewam, że idąc wzdłuż tej rzeczki dotrzemy do jeziorka, a dalej do góry.*
*Zapadła niezręczna cisza. Do budyku weszła Yngvild.*
*-Dziękujemy ci.-powiedział Hodo. Miły wyraz twarzy nie zapowiadał tego co stanie się potem.-Ale nie zrobimy nic dopóki mamy kreta.-Wszyscy spojrzeli po sobie, a w szczególności na mnie.*
*-No co ja znowu?-zawołałem.-Wszystko co złe to na mnie tak?*
*-Proponuję zrobić przesłuchanie w tym zamkniętym gronie. Magu, idź po alchemiczkę.*
*Wyszedłem po czym wróciłem z nią chwilę później.*
*-Potrzebujemy eliksiru prawdy.-zaczęła Yngvild bez ogródek.-Masz takowy na stanie?*
*-Mam akurat fiolkę to znaczy wicehrabia ma i...*

*-To chodźmy! Gdzie on jest?*
*-Siedzi teraz przy ognisku.*
*I kompania opuściła zacisze karczmy na rzecz ciepła ognia.*
*-Wicehrabio, potrzebujemy twojej porcji eliksiru prawdy.-powiedział Hodo zaraz po przywitaniu się.*
*-Mojej?!-wicehrabia zbierał sie do płaczu.-Dlaczego MOJEJ?!*
*-Bo nie ma innej w całym zajeździe-odpowiedziała Mona. Ona wiedziała to najlepiej, bo sama przyrządzała je.*
*-Jesteśmy gotowi zapłacić.-zachęcił chorąży.*
*-Spadaj, ja za nic nie płacę!-odciął się elf.*
*-No dobra, zaraz przyjdę.*
*Po dłuższej chwili wrócił wicehrabia z fiolką i Edriciem.*
*-Czemu to jest takie...-urwał Zibbo.*
*-Bo dodałem tam wina, żeby książę zasmakował.*
*-Aaa-twarze żołnierzy pojaśniały. Usiedliśmy w kółeczku wokół ogniska. Flaszeczka szła po kolei ujawniając mniej lub bardziej intymne sfery życia przesłuchiwanego. W końcu doszło do mnie.*
*-Odłóż broń.*
*Posłusznie wyjąłem saberę zza paska i ostentacyjnie odrzuciłem ją w kąt. Dwa ostrza zbliżyły się do mojego gardła: Arandira i Riena. Chciałem się później zemścić za to na szermierzu. Hodo uśmiechnął sie z wyrazem nie skrywanej satysfakcji.*
*-Po co tu przyjechałeś?-zapytał*
*-Aby wypełnić moje zadanie.-odpowiedziałem patrząc w punkt nad górami.*
*-Kto je zlecił?*
*-Mój władca.*
*-Na czym ono polega?*
*-Na zdobyciu pewnych informacji.-bawiło mnie mocno to przesłuchanie.*
*-To znaczy?-nie wytrzymała Yngvild.*
*-Miałem... mam za zadanie skontaktować sie z plemionami na wschód stąd i przekonać je do walki przeciwko Cesarstwu.-byłem ogromnie ciekaw ich reakcji.*
*Zapadła cisza i wszystkie oczy były zwrócone na mnie.*
*-I dlaczego niby nie mam cię zabić?-zapytała Yngvild.*
*-Och, powodów jest kilka co najmniej. Bo od kilku miesięcy dowództwo nie otrzymało żadnego raportu, bo do tej pory nie zabiłem żadnego z was mimo, że miałem ku temu wiele powodów i okazji. Bo nie zabilibyście kolejnego cywila,-zmieniłem ton głosu na bardziej płaszczący się- biednego podróżnika z dalekiego kraju i badacza potworów.-uśmiechnąłem się kpiąco.-I na koniec, bo jestem wam jeszcze potrzebny, a poza tym to ja uratowałem was przed wampirami.*
*Ostatni argument był nie do podważenia. Ogłuszywszy dwa z trzech i uzbroiwszy grupę w srebro dałem im szansę na przetrwanie. Yngvild opuściła miecz, podobnie jak elf i Rien. Spojrzałem mu w oczy, sięgnąłem po szable i z dumą usiadłem na swoim miejscu. Kolejny w kolejce był Rien właśnie, więc wstałem, aby mu "przytrzymać" głowę. Był to w sumie chłopak, młody może dziewiętnastoletni o urodzie... co najmniej kobiecej. Nie chodzi mi o to, że miał... no kobiece atrybuty, ale rysy jego twarzy przywodziły na myśl dziewczynę w mniej więcej tym samym wieku. Był z resztą mocno przewrażliwiony na tym punkcie i każdego mężczyznę, który go pomylił z kobietą-wyzywał na pojedynek. Krótkie brązowe włosy odbijały w tej chwili światło płynące z ognia. Sabera okazała się dobrą "podpórką" pod żuchwę, trochę trudno było mu przełykać ślinę, ale w końcu jakoś dotrwał do końca. Siadając spojrzał na mnie lodowatym spojrzeniem brązowych oczu. Uśmiechnąłem sie i słuchałem przesłuchania kolejnych osób. Na jaw wyszła współpraca Lanna z Gildią co wywołało niemałe zamieszanie zakończone ostatecznie wzajemnym pouczeniem. Największy problem był z alchemiczką.*
*-Pij!-rozkazał Hodo.*
*-Spokojnie...-Mona skrzywiła twarz w grymasie wyrażającym co najmniej pogardę.-Już piję.*
*-Chwileczkę-powiedział Edric.-Ona mogła się uodpornić.*

*-Ma rację-przyznała Yngvild.-Piłaś coś wcześniej?*
*-Przecież się nie przyzna-powiedziałem-jeżeli to wypiła to nie przyzna się do tego. Logiczne zdaje się. Osobiście nie sądzę, żeby się zabezpieczyła na taką ewentualność.*
*-Ty siedź cicho,-warknął chorąży-bo jesteś ostatnią osobą, która może kogokolwiek bronić.*
*-Na tej samej zasadzie-pomyślałem-mógłbym na wejściu do wartowni strzelić ci piorunem w ten czerwony kubraczek...*
*-To w takim razie poczekamy na Varthanisa, on przeczyta jej umysł.*
*Ktoś pobiegł obudzić nekromantę, ale ten pojawił się dopiero po niemal piętnastu minutach oczekiwania zaspany i ciężko kontaktujący. Okazało się, ku wielkiemu zdziwieniu straży, że alchemiczka wcale nie wypiła eliksiru ochronnego oraz, że jest niewinna i przyjechała w celach badawczych. Po przesłuchaniu wszystkich siedzieliśmy jeszcze chwilę przy ognisku.*
*-Ale nie możemy go tak zostawić-powiedziała Yngvild głową wskazując na mnie.-Jest niebezpieczny dla otoczenia.*
*-No-Hodo był mocno zmęczony.-Ale co proponujesz?*
*-Nie wiem, jeszcze nie wiem.*
*Wstałem i udałem sie do namiotu. Pomodliłem sie zastanawiając się nad moim dzisiejszym zadaniem. Wiedziałem, że coś dość ważnego umknęło mojej uwadze i liczyłem na to, że Baal ześle odpowiedź na moje pytanie. Na zewnątrz hulał wiatr...*

*<u>9 dzień Lammas</u>*

*Wstawał świt. Podobno to normalne. Kolejny brutalny poranek w moim życiu. Zimno jak diabli, chociaż nie jest aż tak mokro jak wczoraj i przedwczoraj. Noc przespałem tym razem całą, bez problemu przypominając sobie dzieciństwo. Wiedziałem już jaki błąd popełniłem. Ołtarz nie został poświęcony bogini Dianie co w niektórych wypadkach jest niewybaczalnym błędem. Miejmy tylko nadzieję, że ten sylvan nie był specjalnie pobożny, i że nie będzie mu to przeszkadzało. Najwyżej-pomyślałem-to nie ja będę się martwił tylko oni. Pomodliłem się w podzięce za tą wizję po czym wyszedłem się umyć. Wróciłem do namiotu, zabrałem naczynia i poszedłem na śniadanie. Wszedłem po schodach na górę do karczmy. Gęsta mgła pokrywała góry. Zapowiadał się ciekawy dzień. Usiadłem w karczmie i czekałem na posiłek patrząc jak pomieszczenie powoli się zapełnia. Wszedł rozbawiony czymś Illima, za nim Lann głęboko zamyślony nad czymś prawdopodobnie nad wczorajszą nocą. Potem pojawiła się panna Pendragon oraz wicehrabia z szermierzem. Wyjąłem sabere zza pasa i oparłem ją o ścianę. Zawsze tak robiłem przed posiłkiem. W trakcie jego trwania jak zwykle rozgorzała dyskusja na różne tematy: kto co zrobił i dlaczego, dlaczego nie pozwolił zrobić tego mnie oraz co ja bym zrobił na jego miejscu. A ja jadłem dalej. Planowaliśmy co będziemy robić jak zjemy i chwilkę odpoczniemy. Cywile chcieliśmy iść jak najszybciej do alchemika, bo droga była podobno dość długa, a zależało nam na szybkim zakończeniu sprawy. Chwilę po śniadaniu pojawił się kapitan ze swoim standardowym tekstem: "Cywile, z karczmy!" co zostało skwitowane pomrukiem "cywili" i po chwili oglądaliśmy zewnętrzne ściany karczmy. Nie czekając na zwolnienie się budynku poszliśmy po Obieżyświata i już po chwili ruszyliśmy w drogę. Trzeba ci wiedzieć drogi czytelniku, że odwiedziny u alchemika były dla nas niezwykle istotne ze względu na chorującą drużynę. Zachorowali oni poprzedniego dnia wieczorem stawiając nas samych w bardzo trudnej sytuacji. Na szczęście alchemiczka zadziałała niezwykle szybko i juz po chwili wirus przestał sie dalej rozwijać, pozostały tylko objawy choroby. Wśród chorych był niestety Obieżyświat, więc droga dłużyła się bezlitośnie na nieustannych postojach. W końcu zauważyliśmy niewielki drewniany domek w odległości około 80 chanackich koni ( jeden chanacki koń to około 2,5 metra cesarskiego). Szli z nami dwaj strażnicy krasnolud Zibbo oraz nowy Kultbert. Ten ostatni został ostatnio mianowany podchorążym co nie spodobało się większości oddziału.*
*-Trzeba go podejść.-powiedział podchorąży.*
*-Nie!-ucięła krótko i stanowczo Mona.-Umawialiśmy się, że idę tylko z Candice to tak ma być. Wy macie stać w bezpiecznej odległości.*
*-Tak, ale jak mamy ci pomóc w razie czego jak będziemy stali tutaj?*

*I tym sposobem grupa rozdzieliła się zasadniczo na trzy grupki: Edica i mnie idących w stronę strumyczka w przygarbionych pozach, Miji, wicehrabiego oraz Riena idących za nami oraz Mony i Candice asekurowanych z odległości niecałych 10 koni przez Zibba i Kultberta. Omus, Dinim oraz Obieżyświat trzymali się jeszcze dalej ot tak na wszelki wypadek. Akurat zeszliśmy do strumyczka, aby zająć strategiczną pozycję kiedy usłyszeliśmy głos Dinima:*
*-Wszystko w porządku, można wejść.*
*No tak, ale musieliśmy najpierw wygrzebać się z tej dziury. Kiedy wyszliśmy udaliśmy się natychmiast całą sześcioosobową grupą do domku. W środku wśród dymu i.. i niczego więcej, bo było widać jedynie dym, siedziała reszta towarzystwa, a po drugiej stronie siedział alchemik ze swoją pomocnicą.*
*-Przysłał nas hrabia Rasgalen-zaczął wicehrabia*
*-Hrabia? a czego on tu szuka?-spytał alchemik z oparów.*
*-Jest zainteresowany tym co powoduje śmierć u jego górników.-ciągnął wicehrabia.*
*-O istotnie ciekawe, a co ja mam do tego?*
*-Dowiedzieliśmy się, że możesz mieć pewne informacje na ten temat.*
*-Jaa? Chyba żartujecie sobie. Kto wam takich rzeczy naopowiadał?*
*-Książę Kamieńca.-ucięła Mona.-Mówił, że wykonałeś niedawno jakąś miksturę.*
*-Ja?-zamyślił się.-A chwila, chwila przypominam sobie. Mikstura na sraczkę... ale nie ona nie mogłaby zabić.*
*-A możesz podać składniki tej mikstury?*
*-Czy mogę? Czy mogę wam je dać? Nie nie mogę. Nie mogę, bo... bo tak i tyle o!*
*Wtedy zauważyłem kilka kartek leżących na stole przede mną. Licząc na to, że opary są na tyle gęste sięgnąłem po nie i zacząłem czytać. Mówił prawdę. W notatkach był dokładny przepis na wywar sraczki, ale nie było niczego co powodowałoby widoczne objawy. Nie, chwila, było tam coś o ametystoicie, alchemiczka wspominała kiedyś o nim. Jest to płynny ametyst, który według notatek tego alchemika miał wzmacniać miksturę sraczki do efektu u górników. Po raz pierwszy od kilku dni zrobiliśmy jakiś krok do przodu w tej sprawie i to od razu taki duży.*
*-Mona!-krzyknąłem cicho. Alchemiczka obróciła się.-Coś tu mam.-pokazałem jej notatki.*
*-Uwaga, uwaga!-krzyknął alchemik zakrywając uszy i chowając się pod stołem.*
*Wybuch w kotle.*
*-Przepraszam, przepraszam was.-powiedział wstając i natychmiast zmienił ton-Widzicie, rozpraszacie mnie, nie mogę przez was normalnie pracować. Czego chcecie?*
*-Chcemy antidotum na miksturę jaką stworzyłaś dla księżnej Kamieńca-przemówił w końcu Kultbert.*
*-Ach, tak tak. Ale nie wiecie co? Nie dam jej wam.-powiedział z uśmiechem.*
*-Dlaczego?-zapytałem z drugiego końca pomieszczenia. Alchemik wytężył wzrok aby mnie dojrzeć.*
*-Bo bo... bo nie o!-zakończył z zachwytem.*
*Po tym nastąpiła krótka wymiana zdań między podchorążym, a alchemikiem. Atmosfera niemal wrzała.*
*-Jak ty tak, to ja tak-powiedział naukowiec sięgając do kąta. Okazało się, że stała tam włócznia i to całkiem porządnej jakości. Mężczyzna zaczął okładać nią podchorążego po głowie.*
*-Przestań! Przestań!-krzyczał podoficer.*
*Wtedy to wyciągnął własną broń-ciężki miecz i uderzył alchemika w potylicę. Ten zatoczył się jedynie po czym dalej okładał drzewcem włóczni. Na to Edric i Kultbert uderzyli go znów głowicami w potylicę czego czaszka nie mogła wytrzymać i alchemik sie przewrócił na ziemię.*
*-No to problem z głowy-powiedział podchorąży siadając koło kotła alchemika. Leżało tam prawdziwe mnóstwo odczynników, których nikt o zdrowych zmysłach by nie tknął. No właśnie... Juz po chwili Kultbert i Zibbo radośnie wciągali pierwszy odczynnik do nosa. Stal tak także flakon opatrzony etykietą pepsum. Również i to poszło w ruch.*
*-Idioci-pomyślałem.*
*-Mona-zawołałem-coś tutaj chyba mam. Mona wzięła ode mnie notatki i zaczęła czytać. Raz potem drugi. Usiadła i zaczęła robić własne notatki.*

*-Potrzebuję pewnych materiałów, odczynników.-powiedziała po chwili, którą spędziłem na oglądaniu Strażników delektujących się chemikaliami. Podszedł Dinim, Edric i ja.*
*-Potrzebuję igieł świerku, czosnku, może być niedźwiedzi oraz groszek leśny. Wiecie jak to wygląda.*
*-Tak.-odpowiedzieliśmy niemal chórem.*
*Samo poszukiwanie tych trzech roślin zajęło nam około pół godziny lub więcej. Zmęczeni wróciliśmy do domku i wręczyliśmy Monie odczynniki. Ta posiedziała jeszcze chwilę nad butelką po czym oznajmiła, że mikstura gotowa. Podano ją chorym do wypicia.*
*-Jest to jedynie mikstura opóźniająca działanie trucizny, prawdziwe antidotum mogę zrobić dopiero w zajeździe.*
*Tak więc drużyna została zmuszona do opuszczenia domostwa alchemika i po szybkim rabunku wszystkiego co nie było przybite do podłogi wyszliśmy.*
*-Ej, pamiętacie jaka była historia z giermkiem?-Zibbo zatrzymał sie po chwili-Co jak znowu wpadniemy?*
*-Zastanówmy się-powiedziała Candice-będziemy mieli przesrane?*
*-Co najmniej-odpowiedział Zibbo cofając się do domku alchemika. Po chwili usłyszeliśmy stłumiony wybuch. Idąc z przodu nie mogłem wiedzieć co kombinuje Straż, a teraz obracając sie dostrzegłem Zibba wybiegającego z domku.*
*-Spier...-kolejny wybuch znacznie większy od poprzedniego zagłuszył puszczone w eter ostrzeżenie. Mimo to wszyscy z zaskakującą jasnością umysłu odkryli co krasnolud miał na myśli i nie czekając na jego powrót do nas zaczęliśmy biec przed siebie. Po około 200 koniach zatrzymaliśmy się, żeby złapać oddech. Reszta drogi przesycana dalekimi echami eksplozji minęła miło i sympatycznie. Pomijając oczywiście fakt, że dystans o długości 200 koni pokonaliśmy w pół godziny zamiast 5 minut, bo jedliśmy maliny całą drogę.*

**********

*Jeżeli któreś z nas uznało odwiedziny u alchemika i spalenie jego pracowni za wyczyn to było w wielkim błędzie. Już schodząc po schodach dostrzegliśmy, że coś jest nie tak. Cicho, spokojnie, nikt na nikogo nie krzyczy. Zaniepokoiłem sie niemal i rozejrzałem się dookoła. Z prawej strony, na zboczu leżały ciała. Trzy ciała. Po lewej na jednym kocu leżał Varthanis i Hodo. Po prawej jakieś bezgłowe zwłoki.*
*-Masz w końcu za swoje oficerze.-pomyślałem stojąc nad ciałem chorążego.-Kto teraz cię uratuje? Psioniczka półelfka od siedmiu boleści, Shamaroth, który w przerwach miedzy stanem totalnego zalania, a trzeźwością bełkotał niewyraźnie formułę opętania? Nie, oni ci nie pomogą-spojrzałem na kapłana stojącego na pieńku obok.-Zostałeś sam panie chorąży-powiedziałem całkiem głośno podchodząc do Shamarotha. Obok siedział Illima i medytował.*
*-Co jest chłopaki?-zagaiłem. Miałem nadzieję, że obaj się zdekoncentrują.*
*-Nic nie jest,-odpowiedział kapłan półgębkiem-odejdź stąd.*
*-Ojej, a obiad jest taki pyszny-denerwowałem ich dalej.-Może chcecie trochę?*
*-Nie, po prostu idź sobie-warknął Illima.*
*Wtedy dojrzałem trzecie ciało, które jak do tej pory umknęło mojej uwadze. Był to, choć nie wywnioskowałem tego po twarzy, Lann, Lann bez głowy.*
*-Pięknie-pomyślałem-wycinają się od wewnątrz nie dając szans prawdziwym wrogom. Prawdziwym to znaczy takim, którzy nie należeli do cesarskiej armii. Rozejrzałem sie dookoła. Był to strzał w dziesiątkę, bo zobaczyłem Edrica kręcącego sie przy zwłokach.*
*-Ehh,-westchnął- myślałem, że wszyscy są w środku.*
*-No jak widać nie wszyscy.-odpowiedziałem przyglądając się temu co robił. Właśnie skonczył obchodzić dookoła ciała Hoda i Varthanisa i podchodzil do bezgłowego Lanna.*
*-Ty sprawdź lewą, ja prawą kieszeń.-rzekła klękając przy zwłokach. Myślałem, że bezczeszczenie zwłok jest zakazane w Cesarstwie i aż czekałem na wyjście jakiegoś Strażnika przed budynek. W jednej z kieszeni znaleźliśmy pieniądze.*
*-Masz-powiedział Edric wręczając mi dwa lintary-nefryt będzie trzeba rozmienić.*

*Wróciliśmy do środka jak gdyby nigdy nic.Wtedy zawołano wszystkich na obiad, a kapłan z pomocnikiem siłą rzeczy musieli ulżyć swoim trzewiom. Atmosfera była ponura i napięta. Zaczęło padać, więc wniesiono ciała do środka, aby nie zamokły. W sumie racja, bo w mokrym ciele dusza trudniej znajduje swoje miejsce. Kiedy w końcu uporaliśmy się z obiadem, który istotnie był pyszny, przyszła kolej na odpoczynek i rozmowy poobiednie. Dowiedziałem się, że przyczyną śmierci tej trójki jest zdrada jednego z nich, Lanna. Nie zdziwiłem się, bo podczas wczorajszej rozmowy przy ognisku wspomniał o współpracy z zakonem. Zastanawialiśmy się jedynie w jaki sposób przywrócą ich do życia. Wtedy to do karczmy wpadł komendant z porucznikiem.*
*-Całość wstać!-zakrzyknął. Cywile ostentacyjnie usiedli byle gdzie.-Chwała cesarzowi!*
*-Chwała!-zasalutowali wojacy. Kiedy usiedli, wróciliśmy do swoich zajęć. Nie słuchałem dokładnie co mówi ich dowódca, ale po chwili zaczął głośno krzyczeć.*
*-Jesteście pod moim dowództwem, macie mówić mi WSZYSTKO! No proszę, jak wytłumaczycie zajście na górze Kapliczki? Bo wiem już co sie stało, chcę to usłyszeć od was.*
*Zapadł cisza przerywana cichymi śmiechami po naszej stronie stołu. Bardzo bawiła nas ta sytuacji i może wybuchnęlibyśmy śmiechem gdyby nie surowa twarz komendanta, która mówiła nam, że z żartów nici. Po chwili wstał Zibbo zastępujący Hoda na czas jego śmierci.*
*-Na wyznaczone miejsce poszli Lann i Sigbert, aby odeskortować księcia.*
*-Ale nie sami-wtrącił oficer.-Kto poszedł z nimi?*
*Zibbo kaszlnął w pięść.-Najemnicy hrabiego Rasgalena-wskazał ręką w naszym kierunku-mieli do niego jakąś sprawę...*
*-I tak po prostu pozwoliliście im pójść ze sobą?-ryknął komendant. Nie czekając na odpowiedź podszedł do naszego stołu i stając nad Mią i Rienem zapytał.*
*-Po co chcieliście sie spotkać z księciem?*
*-Jest on podejrzany w sprawie zatrutych górników-odpowiedziała Mija spokojnie.*
*-Wiedzieliście o tym?-skierował wzrok na Strażników, którzy zaczęli zawzięcie o czymś rozmawiać.*
*-No... tak-powiedział Zibbo po chwili wahania.-Przed wyjściem nam powiedzieli dokładnie o co chodzi.*
*Komendant wyglądał jakby miał zaraz wybuchnąć, ale w porę opanował go porucznik. Wrócili do przepytywania nas odnośnie górników. A kto? A dlaczego? Dlaczego on nic nie wie? I znowu dlaczego akurat książę? Jakie mamy dowody? I tak dalej ciągnęłoby sie przesłuchanie gdyby nie gwałtowna reakcja Miji.*
*-Wynajął nas hrabia Rasgalen i ratowaliśmy tych ludzi WASZYCH obywateli przed śmiercią, a ty jeszcze śmiesz na nas krzyczeć? To my pracujemy w pocie czoła nad tą sprawą, macie dzięki nam mniej roboty, a wy na nas krzyczycie? To chyba przede wszystkim WASZE zadanie, to WY macie chronić cywili przed zagrożeniami, prawda?*
*Komendant wyglądał jakby mu mowę odjęło. Kiedy powrócił do siebie chciał chyba coś odpowiedzieć bardce, ale porucznik odciągnął go delikatnie z powrotem do oddziału. Kiedy wracali do stołu Strażnicy szybko wracali na swoje miejsca z twarzami "niewyrażającymi żadnych uczuć".*
*-Siadać! Cisza! Jest jeszcze coś co powinienem wiedzieć?-zapytał.*
*-Teraz!-krzyknęła Yngvild i kilka osób znajdujących się najbliżej oficerów wysunęło broń i błyskawicznie przystawiło im do gardeł.*
*-Co to ma znaczyć? Co wy usiłujecie zrobić-krzyczał komendant. Porucznik zdawał się nie widzieć tego co się dzieje, po prostu stał i trzymał głowę w miarę wysoko.-Pójdziecie wszyscy pod sąd wojenny!*
*-Ale wcześniej ty zginiesz. Candice! Do roboty!*
*Półelfka podeszła i zaczęła inkantować zaklęcie wykonując gesty. Było to zaklęcie wymazania pamięci. Chyba, bo nie zdążyła skończyć kiedy dostała szablą komendanta po brzuchu.*
*-No ładnie-pomyślałem patrząc jak jasna elfia krew opuszcza ciało psioniczki. Ta wykonała jeszcze dwa rozpaczliwe ruchy ręką i straciła przytomność. Na widok takiego obrotu sprawy Zibbo, pilnujący porucznika skoczył na oficera, ale było za późno, już był cięty przez ramię. Na placu boju została Yngvild. Wszystko to trwało kilka sekund i nikt nie zdążył zareagować, nawet spośród tych, którzy siedzieli najbliżej. Chwile zastanawiałem sie jaki efekt dałoby zaklęcie, ale przypomniałem*

*sobie wczorajszy wieczór i od razu odechciało mi sie wspomagać opuszczoną gwardzistkę*
*-Siadać!-warknął komendant chowając szable za pas.-Natychmiast mi to wytłumaczcie.*
*Kilka osób w tym ja zerwało się, aby pomóc rannym.*
*-Siadać, macie około dziesięciu minut na wytłumaczenie mi tego, albo oni się wykrwawią. Słucham.*
*Zapadła niezręczna cisza, ale wszyscy zdawali sobie sprawę z tego jak bardzo śmiertelna może sie okazać. Pierwsza głos zabrała Yngvild.*
*-Po pierwsze musimy chyba wytłumaczyć co sie stało na górze Kapliczki.*
*-Bardzo proszę.*
*-Jak już wiadomo, poszli z nimi najemnicy hrabiego. Mieli przepytać jedynie księcia, a dalej zajęlibyśmy się nim sami.*
*-Na czym miało polegać to "zajęcie się"?*
*-Mieli odeskortować księcia tam gdzie chciał, tak jak było powiedziane.*
*-Aha, czyli najpierw pozwoliliście cywilom wykonać ich prywatę, a potem dopiero chcieliście wykonać swoje zadanie?-kapitan był zimny i opanowany.-Dobrze, to może posłucham sobie kogoś kto tam był, ze Straży oczywiście, bo plebsu nie warto pytać.-Mija Pendragon chciała juz mu powiedzieć kilka słów odnośnie plebsu kiedy powstrzymał ją Rien.-Może pan Sibgert?*
*Rycerz wstał. Odchrząknął i zaczął mówić.*
*-Nie poszliśmy tam sami. Po dojściu na miejsce okazało się, że książę nie jest sam i cały plan cywilów wzięło w łeb. W trakcie rozmowy giermek zaatakował raniąc kilka osób ostatecznie zabił go jednak Lann. Książę spanikował, ale udało sie go nam uspokoić-komendant dalej uważnie słuchał, a na ziemi charczeli krwią ranni-cywile napoili go winem z serium prawdy.*
*Co?-zapytał komendant.-Co to jest?*
*-Serium prawdy...-zaczęła Mona.*
*-Cisza tam!-krzyknął-On zdaje relację.*
*-Serium prawdy jest to eliksir pozwalający wykryć czy dana osoba kłamie czy nie. Czyli zmusza do mówienia prawdy.*
*-W jaki sposób?*
*-Powoduje ona ogromny ból jeśli ktoś spróbuje skłamać.*
*-Aha. Kontynuuj.*
*-Książę wypił i przepytano go na ten temat, to znaczy na temat górników. On powiedział, że coś o tym słyszał, że to podobno jego matka wymyśliła.*
*-No dobrze, dobrze, ale co z samym księciem i co zrobiliście z ciałem i bronią giermka?*
*-Książę został odeskortowany do zajazdu, ciało giermka zrzucono po skarpie, a broń zabraliśmy.*
*-Czyli jest ona tutaj, w zajeździe?-zapytał porucznik.*
*-Tak... tak sądzę.-odpowiedział po chwili wahania rycerz.*
*-A więc tak, Sigbercie Clodian, niniejszym pozbawiam was tytułu szlacheckiego oraz herbu, zostajecie zwykłym chłopem. Poruczniku idź przeszukać zajazd, na pewno gdzieś jest ta broń.*
*Porucznik wyszedł. Po chwili, jaką spędziliśmy na sprzeczce z kapitanem o możliwość leczenia rannych i dlaczego nam na to nie pozwala, wszedł oficer z tarczą oraz włócznią.*
*-Znalazłem to w środkowym namiocie-zrobiło mi się cieplej-na środkowym górnym łóżku-i jeszcze cieplej-wejście to bliżej schodów-i ulżyło mi.-Kto tam śpi?*
*Chwila zamyślenia, a potem gra na czas. Wszyscy wiedzieli kto tam śpi oraz za co w najbliższym czasie może stracić głowę.*
*-Ablu, jeżeli teraz tego nie zrobisz to możesz tego potem żałować-pomyślałem.-Nie może mu to ujść na sucho. Będzie jednego cesarskiego psa mniej.*
*-To jest łóżko skrytobójcy-powiedziałem wstając. Nie musiałem specjalnie nadwyrężać głosu, bo w karczmie panowała niemal całkowita cisza. Jednak po tych słowach zawrzało w pomieszczeniu, niektórzy zaśmiali się z tej sytuacji.*
*-Heh,-kapitan też należał do tych rozbawionych-gdzie jest ów osobnik?*
*Rozejrzałem się dookoła.-Nie ma go tu.*
*-W takim razie niech ktoś po niego pójdzie-wstałem.-Ale nie ty.*
*-Cholera-pomyślałem-teraz się typ przyczepi do tego skąd niby wiem o jego profesji kto ja jestem w*

*ogóle.*
*Ale ku memu zdziwieniu kapitan pominął moją osobę i oczekiwał na przybycie winnego. Czasu było coraz mniej. Do karzmy wszedł Dinim prowadzony przez Riga.*
*-Na środek-pchnął elfa najemnik.*
*-Imię? Profesja? Zleceniodawca?-zapytał komendant jak na profesjonalnym przesłuchaniu w prawdziwym cesarskim lochu. Poczułem się znów młody.*
*-Dinim, skrytobójca, zleceniodawce nie znam-odpowiedział lekko zdezorientowany. Karczma wybuchła śmiechem. Kiedy w końcu się opanowaliśmy kapitan powiedział:*
*-Staniesz przed sądem, razem z tymi tu-wskazał ręką na rannych i Yngvild. A wracając do tematu. Zostaniecie ukarani, wszyscy którzy dopuścili się tego ataku odsiedzą w karcerze aż do swojego procesu. Opatrzeć ich!*
*Po tych słowach zawrzało na nowo w karczmie. Porucznik i jego zwierzchnik wychodzili, kilka osób chwyciło za bandaże, Mona pobiegła po miksturę. Niestety, dla Candice było to za późno...*

**********

*Reszta dnia mijała pod hasłem: "Shamaroth zrób cos w końcu" oraz rozmyślaniu nad Smokiem. Długo zastanawialiśmy się nad tym, czy będziemy potrzebować prawdziwego cesarza czy nie.*
*-W sumie to jakiś mechanizm jakikolwiek by był to będzie reagować na medalion, a jego mamy.-wywnioskował Rigo.-Czyli ktoś założy medalion i będzie udawał cesarza.*
*Wszyscy spojrzeli na Yngvild.*
*-Czemu ja?-oburzyła się.*
*-Ponieważ ty miałaś kontakt z cesarzem jako ostatnia.*
*-I co z tego? Hodo jest tu najwyższy stopniem, niech on to zrobi.*
*-Nieprawda, bo ja tu jestem najwyższy stopniem-powiedział Kultbert siedzący po drugiej stronie karczmy z Borysem i pijący piwo.*
*-Przecież i tak nikt cię nie posłucha!-powiedział Zibbo.*
*-W sumie to Yngvild została mianowana zastępcą, wtedy w nocy z wampirami.-podsunął Arandir.*
*-I co z tego? Kapitan minował jego nie mnie.*
*-To jest akurat mniejszy problem-powiedziałem-wracając do tematu Smoka...*
*-A co ty się nim tak interesujesz?-wybuchnęła gwardzistka.*
*-Już ci to mówiłem i nie zamierzam sie powtarzać. Zakładacie, że mechanizm reaguje na medalion. Dobrze. Co jednak jeśli mechanizm stworzony przed wiekami przez Najstarszych jest magiczny i wyczuwa powiedzmy...członków cesarskiej linii krwi?*
*Wszyscy spojrzeli po sobie. Była do dość prawdopodobna wersja, aby Najstarsi zabezpieczyli się na wypadek dostania się medalionu w niepowołane ręce. Zapadła grobowa cisza.*
*-Oj przesadzasz-odważył się ją przerwać Arandir-niby po co mieliby robić coś takiego? Aż tak im na Styrii chyba nie zależało.*
*-No nie wiem. Skoro w ogóle stworzyli coś takiego jak Draig-a-Hern to myślę, że chcieliby chronić swoje dzieło. No, ale to nie moja sprawa jak to już zostało powiedziane.*
*Wstałem i wyszedłem. Była ładna, wręcz piękna noc. Upiekło im sie siedzenie w karcerze, bo porucznik wstawił się za nimi i wypuścił a wolność. Przy ognisku standardowo suszyły sie mokre od deszczu ubrania oraz ludzie i krasnoludy, którzy uciekli przed chłodem nocy.*
*-O, jest i Abel.-zawołał Edric jak mnie zauważył.-Możemy wychodzić.*
*-A dokąd?-zapytałem nie wiedząc co się dzieje.*
*-Do hrabiego!-odrzekł tonem oburzenia-po naszą zapłatę.*
*Aaa-przypomniałem sobie-faktycznie.*
*Po chwili zjawił sie Obieżyświat i mogliśmy ruszać w drogę.*

**********

*Droga po ciemku. Z dwoma pochodniami z czego jedną mieliśmy zapaloną. Po kilku metrach*

*oddział podzielił się na trzy grupy: awangardę czyli Dinima, który umknął każącej ręce sprawiedliwości, Edrica, Omusa i mnie, dalej był główny trzon kolumny czyli wicehrabia z towarzyszami, Vilreth oraz Mona, a na końcu maszerował Obieżyświat w ariergardzie. I tak idąc z przodu szybko zrezygnowaliśmy z pochodni na rzecz większej widoczności i lepszemu ukryciu.*
*-Hej,-odezwała sie Mija z tyłu-weźcie zapalcie tę pochodnię.*
*-Po co?-zapytał Edric-przecież wszystko widać, a wy macie swoją.*
*-To po co ją zabraliście?*
*-Ot tak, na wszelki wypadek.*
*Zaczęliśmy już podchodzić pod górę i za chwile mieliśmy dotrzeć do bram zamku. Po chwili faktycznie zobaczyliśmy bramę, ale zamkniętą. Za to hrabia z dwórką stał na drodze.*
*-Kto idzie?-zapytał lekko zlękniony.*
*-To tylko ja wuju.-odpowiedział młodszy Rasgalen. Po szybkim powitaniu Fein Rasgalen zaczął rozmowę.-Wuju, mamy lekarstwo!*
*-Lekarstwo, jakie lekarstwo? Aaa górnicy-przypomniał sobie.-Mogę je dostać?*
*Z szeregu wystąpiła Mona i podała niesiony do tej pory flakon.*
*-Tylko tyle?-zapytał z oburzeniem.*
*-Można to dodać w niewielkich porcjach na przykład do piwa i będzie działać równie dobrze.-poinstruowała alchemiczka.*
*-Aha, w porządku. No to teraz należna zapłata.-powiedział i obrócił sie do dwórki. Niska jasnowłosa kobieta otworzyła swoją dużą sakwę i wyjęła z niej dużo mniejszą sakiewkę.-Oto sto lintarów w dwudziestu kamieniach.-wręczył ją siostrzeńcowi. Po tym nastąpiła chwila, którą Rasgalenowie poświęcili na wspólne wspomnienia i plany, a drużyna na własne rozmowy. Ja sam zszedłem lekko z drogi, aby rozejrzeć się dookoła. Było mgliście i to bardzo mgliście, co sprzyjałoby ewentualnemu atakowi. Jednak las spał i nic nie zamierzało go budzić. Kiedy w końcu zakończyły sie rodzinne wspomnienia oraz plany "kto będzie dowodził wojskiem" pożegnaliśmy się z hrabią i poszliśmy z powrotem do zajazdu.*
*-Hojny ten hrabia nie ma co.-powiedział Dinim idąc obok mnie.*
*-No nie wiem.-odpowiedział Omus.-Policz sobie. 100 lintarów na naszą druzynę to dziesięć lintarów na głowę. To nie jest dużo.*
*-Ale robota też nie była trudna-powiedziałem-pomijając tych dwóch łuczników to ryzyko było żadne. Ciesz się, że w ogóle coś dostałeś, a nie pokazał ci pustych rąk.*
*-Nie zrobiłby tego-odpowiedział z tyłu wicehrabia.-W końcu to mój wuj.*
*-Dokładnie panie-odpowiedział Edric-po kimś musiałeś odziedziczyć swoją... oszczędność.*
*I tak droga zeszła nam na tego typu rozmowach, a także rozważaniu kto co zrobi ze swoimi pieniędzmi i czekaniu na Obieżyświata, który szedł dość powoli osłabiony jeszcze chorobą. W końcu wróciliśmy do zajazdu. Po drodze mieliśmy jeszcze nadzieję, że hrabia w swojej chciwości zechce odzyskać swoją setkę, ale zawiedliśmy się i bezpiecznie doszliśmy do Villsvinu.*

**********

*Kiedy weszliśmy do środka grupka Straży zbierała sie akurat do wyjścia. Mówię grupka, ale szla cała Straż, reszta stała przed karczmą juz przygotowana.*
*-Potrzebujecie tej pochodni?-zapytała Yngvild.*
*-Nie, bierzcie.-odpowiedziałem dając jej moją.*
*-A tą-zakaszlała-saberę będziesz potrzebował?-zapytała zabrawszy pochodnię i wręczywszy ją Hodowi.*
*-Nie, nie potrzebuję. Bierz jak chcesz.-widziałem jak głupio jej było prosić o to chanysa.*
*-Dzięki, zwrócę ja wrócę.-uśmiechnęła sie i odeszła do oddziału. Ja poczekałem jeszcze chwilę i przyglądałem sie Strażnikom, po czym usiadłem obok reszty "drużyny wicehrabiego". Używaliśmy tej nazwy z braku innej lepszej, ale tak na prawdę to drużyna była niczyja.*
*-Czekamy aż pójdą?-zapytałem siedzącego obok Edrica.*
*-Pewnie! Czy może chcesz, żeby radośnie zabrali to w imię cesarza?*

*-Żartujesz! W imię Chana to może jeszcze, ale cesarza?*
*-W sumie to jak to jest z tym waszym Chanem?-zaciekawił sie skrytobójca.*
*-Co jak jest? Normalny człowiek z królewskiego rodu, zasiada w stolicy i tak dalej.*
*-Aha.-nie wiem co chciał nowego odkryć. Kiedy w końcu Strażnicy sie wyniesli zasiedliśmy wszyscy do stołu. To znaczy prawie wszyscy, bo brakowało nam Obieżyświata.*
*-Nie martw się-powiedziałem do Riena z sakiewką-rozsypuj!*
*Szermierz chwycił sakwę za dno i wywrócił do górny nogami rozsypując kamienie dookoła.*
*-Fiu fiu-zagwizdał Omus.-Ładna sumka.*
*-Setka Omus, setka przecież wiesz.*
*-No dobrze-zaczął Fein Rasgalen-proponuje podzielić na lintary i kamienie. Tak też zrobiono przy czym okazało się, że jest akurat dziesięć lintarów w bilonie. Podzielono to natychmiast po jednym na głowę zostawiając dla przewodnika.*
*-Ja sobie wezmę na końcu-zapowiedział wicehrabia.-Mona.*
*Alchemiczka przyjrzała sie kamieniom po czym wzięła jednego z nich.*
*-Rien, mój wierny ochroniarzu.*
*Szermierz spojrzał na pracodawcę oraz na stos kamieni. Bardziej chyba przypadł mu do gustu ten drugi widok, bo na nim zawiesił chwilę wzrok, po czym zabrał swoją dole.*
*-Ablu.*
*-Ja?*
*-Ochraniałeś nas, należy ci się.*
*Patrzyłem na górkę kamieni od dłuższego czasu i już wiedziałem, który zabiorę. Piękny zielony nefryt leżał spokojnie na uboczu. Zabrałem go. Po chwili pojawił sie Obieżyświat, który bardzo się ucieszył na swoją część zarobku. Reszta podziału przebiegła gładko.*
*Siedzieliśmy przy ognisku i właśnie dokładaliśmy do ognia kiedy wróciła Straż.*
*-O patrzcie, wszyscy przeżyli-zażartowała Mija.*
*-No, niebywałe-potwierdziłem zbliżając się do oddziału. Mijali mnie we w miarę dobrych humorach, w końcu wyszli poza wartownię i nie dostali po dupie i to pierwszy raz od kilku dni.*
*-Dzięki za saberę chanie.-powiedziała Yngvild wręczając mi broń.*
*-Nie ma za co, była gwardzistko.-zabrałem saberę i poszedłem spać, byłem zmęczony wszystkimi tymi wydarzeniami, a jutro miał być festyn. Pomodliłem sie juz ostatkiem sił i położyłem na swoim łóżku.*

*<u>10 dzień Lammas</u>*

*Bóg wysłuchał modlitw i dzień festynu był przepiękny. Przepiękny czyli nie padało tak jak zwykło padać ostatnimi czasy. Tym razem zimne powietrze nie wdzierało sie tak brutalnie do płuc, za to ciepły wiaterek owiewał twarz. Poczułem sie prawie jak w domu, kiedy to rankiem jeszcze nie jest tak gorąco i idzie jakoś wytrzymać. Poszedłem się umyć, a po powrocie do namiotu pomodliłem się w podzięce za tą piękną pogodę. Nie żeby mi jakoś specjalnie zależało na jakości tego święta, ale nie chciałem po prostu kolejnego dnia spędzić w deszczu mokнąc, albo w wartowni czekając, aż przestanie padać. Zebrałem się do karczmy z moimi naczyniami. Wiedziałem już czego będę potrzebował tego dnia w karczmie: zimnej wody i informacji. Przez ostatnie wydarzenia niemal zapomniałem o moim zadaniu z jakim przybyłe w te góry, a teraz była wspaniała okazja, aby zaciągnąć języka i być może zakończyć w końcu zadanie otrzymane od wezyra. Karczma była jeszcze prawie pusta kiedy do niej wszedłem.*
*-Witaj Demonie-powitałem żyrownika na wejściu.*
*-A witaj. Jak noc?*
*-Dziękuję, dobrze.-nalałem sobie wody-Na szczęście to nie ja musiałem znowu wyleźć do lasu.*
*-A co ktoś wyszedł?-żyrownik podrapał sie po głowie.*
*-Ano, Straż znowu wylazła-odpowiedział Rien, który właśnie wszedł do budynku.-A ja z nimi.*
*-Cudownie. To juz wiadomo jakim cudem nikt nie wrócił ranny-powiedziałem siadając na ławie.*
*-No, tak jakby.-odrzekł szermierz nalewając sobie wody.*

*Po chwili zeszła się reszta cywili oraz Strażnicy i można było zaczynać posiłek. W tematach do rozmów przodowały wyczyny Strażników u alchemika oraz późniejsze spalenie jego domostwa. Wszyscy gratulowali Monie stworzenia antidotum, a nasza drużyna była wdzięczna za zarobek. Po posiłku przyszedł czas na przygotowania do festynu i najważniejszej rzeczy: turnieju. Było kilka kategorii do walki w pojedynkę oraz w w tak zwanym bohurcie, czyli walki dwóch grup ze sobą. Zapisałbym się, ale niestety nie zdążyłem.*
*-Może tak miało być-pomyślałem patrząc na listę osób, które sie zgłosiły-będę miał więcej czasu na przepytanie tych osób, które są mi potrzebne. Przestawiono ławy i urządzono na środku niewielką arenę. Po chwili zaczął się turniej. Zauważyłem hobbitkę Sarę.*
*-Witaj Saro!-powitałem ją.*
*-Witaj Ablu!*
*-Miałbym kilka pytań do ciebie. Moglibyśmy wyjść?*
*-Wyjść? Dlaczego?-zaniepokoiła się.*
*-Bo... tu jest duży hałas, a chyba nie chce ci sie ich przekrzykiwać-jak na komendę rozległ sie głośny aplauz po kolejnym zwycięstwie Riena.*
*-Masz rację, w porządku.*
*Wyszliśmy przed karczmę akurat aby zetknąć się z dwoma wojownikami. Pierwszy z nich wysoki, już z natury w spiczastym hełmie z pióropuszem, wydawał się olbrzymem z "Baśni 1001 spalonych cesarskich placówek" trzymał w lewej ręce niewielką, jak dla niego, tarczę oraz cep bojowy. Drugi, niższy od poprzednika miał również hełm na głowie oraz misiurkę. Uzbrojony w morgensztern wyglądał groźnie. Nie wiem co dalej z nimi było, w każdym razie wyszedłem w końcu przed karczmę.*
*-Słucham?-zapytała Sara.-Co jest takiego ważnego?*
*-Wschód Saro, wschód jest ważny.*
*-Nie rozumiem.*
*-Jesteś właścicielką tej karczmy przez którą przetacza sie wielu podróżnych, ważnych podróżnych, czasem nawet-wskazałem ręką karczmę-wojskowi.*
*-Do rzeczy-ucięła.*
*-Interesują mnie informacje odnośnie esterlingów zwanych przez was"skórojadami". Co możesz mi na ich temat powiedzieć?*
*-No, zamieszkują ziemie na wschód stąd-zaczęła od razu mówić-są negatywnie nastawieni do Cesarstwa...*
*-...a ich niewielkie oddziały przekroczyły niedawno granicę-dokończyłem.-Tyle sam wiedziałem, powiedz mi coś czego nie wiem.*
*-A co konkretnie chcesz wiedzieć?-zapytał patrząc na mnie jak na intruza.*
*-Gdzie mogą stacjonować w tej chwili, jaka jest szansa na ich pojawienie sie w najbliższym czasie...*
*-Pojawić się mogą w każdej chwili-uśmiechnęła sie złowieszczo-a co do ich miejsca pobytu... czy ja wyglądam na wysokiego stopniem oficera?*
*-Nie, ani trochę-zażartowałem.-Na wysokiego stopniem nie.*
*-Dziękuję. To wszystko?*
*-Tak to wszystko.*
*Podziękowałem pomimo tego, że nie dowiedziałem się niczego nowego. Gdy wróciłem do środka zabawa rozkręcała się na całego. Właśnie trwał pojedynek Sigberta z Neilem, nowo przybyłym nabytkiem"cywili". Walczył dobrze, bo trzymał się jeszcze na nogach. Ostatnio walka z rycerzem zakończyła się złamaniem szczęki Riena. Znowu nie obyło się bez kontuzji, bo po chwili wojownik w zielonym kubraku leżał na ziemi trzymając się za oko. Rycerz klęczał nad nim i próbował dojrzeć rozmiar obrażeni.*
*-Ma oko! To tylko łuk brwiowy!-zabrzmiał po chwili werdykt. Wszystkim widocznie ulżyło na sercu. Następną dziedziną był bohurt odgrywany w trzech fazach. Po zakończonym turnieju wszyscy walczący opadli ze zmęczenia, a oglądający pomogli w sprzątaniu karczmy. Pomógłbym też, ale powstał pewien nieciekawy incydent.*
*-O może ty pójdziesz z nami do hrabiego?-padła propozycja. Omus na widok dwóch rosłych*

*najemników Rasgalena zląkł się.*
*-N-nie, ja nie pójdę, mam pewne obowiązki i...-próbował sie wykręcić.*
*-Ale jakie tam obowiązki, chwileczkę to potrwa jak tam pójdziemy. No chodź! Powiesz tylko, że dobrze walczymy i tyle, nic strasznego.*
*Ale Omus jak nie chciał tak nie chciał, a bronił sie coraz słabiej.*
*-Ej, panowie!-krzyknąłem.-A na piśmie może być na piśmie?*
*-O na piśmie, patrz jak umiasty. Podejdź no.*
*Podszedłem do nich kładąc rękę delikatnie na saberze.*
*-Możesz napisać hrabiemu, że dobrzy, że umieją walczyć?-zapytał niższy.*
*-Mogę, dajcie mi tylko chwilę, znajdę tu jakiś papier.*
*Tak na prawdę chciałem znaleźć wicehrabiego i podrzucić go najemnikom, aby on poszedł do swojego wuja. Było po wypłacie, więc nie bałem sie konsekwencji. Jednakże po przeszukaniu całego zajazdu nie znalazłem go.*
*-No co jest z tym na piśmie-zniecierpliwił sie niższy kiedy wróciłem do karczmy.-Patrz bracie, on chyba myśli, że trafił na takich co to głupi są. Myślisz tak?*
*-Nie, myślę gdzie jest papier.-odpowiedziałem rozglądając sie dookoła. W końcu znalazłem papier za jakimiś słojami.-Już, dajcie mi tylko chwilkę.*
*Usiadłem za stołem i zabrałem się do pisania. Pióra i inkaustu nie miałem przy sobie, a nie chciałem ich dodatkowo denerwować, więc zabrałem się do pisania zaostrzonym kawałkiem węgla. Zdarzyłem napisac tylko "Szanowny hrabio, poświadczam, że..." kiedy niższy przerwał:*
*-Ej, patrz, on coś tam za dużo pisze, nie? Oddawaj to, bo jeszcze coś złego on nas napiszesz.*
*Westchnąłem i podałem im prawie czysty papier.*
*-Proszę.*
*-O, jakie ładne wzorki! A tą kropką w górę czy w dół?-zapytał wskazując plamkę na papierze.*
*-Kropką?-wytężyłem wzrok-w dół.*
*Zapytali się mnie o to jeszcze kilka razy zanim wyszli. Przysiadłem się do Aranira rozmyślającego nad rytuałem Smoka.*
*-Jak efekty?-zapytałem.*
*-Idź sobie, nie będziesz patrzył jak wyciągamy Smoka, a potem go ukradniesz dla Chanatu.*
*-Masz rację, nie będę, bo nie pójdę. Nie będę się narażał, skoro szanse na to, że nie zaatakuje was komtur są takie jak całkowite zwycięstwo Cesarstwa nad Chanatem.*
*-Czyli wcale nie takie małe-uśmiechnął się elf.-Dobra siadaj.*
*Usiadłem. Elf był właśnie w trakcie tworzenia listy rzeczy potrzebnych na wyprawę. Po około godzinie, kiedy to dosiadł się Illima i Shamaroth mieliśmy już taką listę rzeczy do zabrania:*
*-18 świec*
*-medalion*
*-sól, dużo soli*
*-ubranie na zmianę dla "cesarza"*
*-pochodnie*
*-zapasowe pochodnie*
*-"znak Smoka"*
*Kiedy skończyliśmy kapłan podsumował.*
*-No, to do roboty! Ja idę powtórzyć inkantację.*
*Shamaroth bowiem był jednym z trzech magokaplanów mających brać udział w rytuale. Ja sam poszedłem do wartowni, aby porozmawiać z cywilami. Reszta przygotowań i później kolacja przebiegły bez najmniejszych problemów. Wieczorem po kolacji pożegnaliśmy Straż z grupką cywili, mając jednak cichą nadzieje, że im sie powiedzie. W zajeździe pozostali: Mija Pendragon, która nie chciała iść ze swoich powodów, Rien Environment, który został, aby ochraniać samotną Miję, chory Sigmar, chory Gadjung, lekko chory Dinim oraz ja, Abel al Salif. Wieczór spędziliśmy bardzo miło na rozmowach, przytoczenia warta jest tylko jedna z nich.*
*-No to Mija przyjmuje zakłady-powiedział Rien, kiedy siedzieliśmy jeszcze w karczmie-szesnaście do jednego, że zakon Indry zabierze im artefakt.*

*Towarzystwo roześmiało sie wyobrażając sobie tę scenę. Weszli do zakładu prawie wszyscy.*
*-Abel, a ty sie nie zakładasz?-zapytał Rien.*
*-Żadna radość z takiego zarobku. Ja sie będę cieszył jak faktycznie zakon im to zabierze.*
*Poszedłem spać z nadzieją, że choć raz mi się uda wyspać bez budzenia w środku nocy, gdyż miałem ostatnią wartę i zamierzałem dłuugo spać. Pomodliłem sie i położyłem na łóżku.*

**********

*O tym, że jestem naiwny nie trzeba mi nawet mówić. Jestem i będę naiwny jeżeli myślę, że ta banda da mi się kiedykolwiek wyspać porządnie.*
*-Abel, wstawaj-mówił ktoś stojący przede mną-wstawaj jest trup.*
*-To nic nowego jak na was-przewróciłem sie na drugi bok.*
*-Tak, ale żywy trup.*
*-Oo, to już cos nowego, postaraliście się-powiedziałem wstając.-Idziemy!*
*Nie wziąłem sabery, bo uznałem, że potrzebuję speca, a nie wojownika. Z daleka było słychać krzyki w wartowni, które nasuwały na myśl naszą walkę z wampirami kilka nocy temu. Po plecach przebiegły mi ciarki na samo wspomnienie tej nocy.*
*-Kto idzie?-zapytała Yngvild z uniesionym mieczem.*
*-To ja z Ablem-rozpoznałem Zibba.*
*-No to panie specjalisto, co mamy zrobić?*
*-Najłatwiej? Odciąć mu łeb!*
*Rien stanął nad wciąż miotającym się ciałem i uniósł miecz. Klinga spadła na kark stwora i z brzękiem odbiła sie od niej. Stwór był porządnie zaczarowany.*
*-Cholera, nie działa. Co teraz?-zapytał Rien trzymając ożywieńca butem.*
*-Podpalcie go!*
*Stojąca w pobliżu Mona sięgnęła do ogniska i wyciągnęła z niego płonącą żagiew. Zombie był w ubraniu co znacznie ułatwiło cały proces. Po chwili zwęglona kupka śmierdzącego mięsa leżała na miejscu potwora.*
*-Radzę przeszukać zajazd, może ich być więcej-powiedziałem przypominając sobie lato w Al-Iffaned. Miasto zbudowano na ruinie starej świątyni i nie mniej starego cmentarza. Pewnej nocy zaatakowało zombie, jedno tylko. Nie było to problemem dla wyszkolonej straży miejskiej, która momentalnie pocięła stwora na kawałki i poszła spać. Następnego ranka nikt się nie obudził. Dwie setki ożywieńców w ciągu kilku minut wycięły w pień straż, a mieszkańców zeżarli w zbiorowej uczcie. Z tymi wspomnieniami na pamięci wyszliśmy z Arandirem i Omusem przed wartownię.*
*-Coś tam leży-powiedziałem. Zbliżyliśmy się i okazało się, że to kolejne zombie ze zmasakrowaną twarzą. Elf nachylił się i przeszukał ciało. Okazało się, że był to kurier, który swoją ostatnią przesyłkę zostawił nam w zajeździe Villsvin.*
*-Idę im to zanieść-powiedział elf odchodząc-masz tu moją szablę.*
*Wziąłem bron i razem z Omusem zacząłem obchodzić teren dookoła. Juz chcieliśmy odejść, kiedy ciało się poruszyło. Najpierw raz niewyraźnie, potem drugi zaszamotało się na brzuchu. I za trzecim razem wstał.*
*-Omus jest problem.-powiedziałem. Fałszerz widział już co sie święci i wyjął broń.*
*-To chyba na nic, biegnij po resztę, ja spróbuję zatrzymać go magią.*
*Omus zamierzał chyba pobić rekord w biegu ucieczkowym. Była to dyscyplina wymyślona w jednym z więzień w cesarstwie, kiedy to nadarzyła się okazja aby skrócić odsiadkę. Teraz zostałem sam z wielkim zombie bez twarzy.*
*-Apare torden vennisimi-krzyknąłem i zmaterializował sie przede mną piorun, a następnie uderzył w martwe ciało.*
*Brak reakcji.*
*Z wartowni nadbiegał Rien i Mija, a za nimi Mona z eliksirem życia na jad trupi.*
*-Dalej, trzeba go spróbować zepchnąć, aby sobie poszedł.-Rien i mija skoczyli na pozycje po obydwóch moich stronach. Jednak prosty z początku plan zaczął się komplikować kiedy przeciwnik*

*wyraźnie okazał swoją pogardę dla żelaza. Cięliśmy go juz dłuższą chwilę kiedy ten nagle przyspieszył i zaszarżował na bardkę.*
*-Torden agrandar vennisimi-tym razem z nieba spadł piorun i ugodził ożywieńca prosto w czaszkę. Błysk oślepił nas na chwile, ale za to zombie był ogłuszony.*
*-Niech ktoś pobiegnie po ogień, szybko!*
*Nie pamiętam nawet kto pobiegł, ale już po chwili miałem na sobie wielkie śmierdzące ciało. Chwilę później poczułem ugryzienie na lewym barku.*
*-Aaaaarrr*
*Po chwili ciało zlazło ze mnie, a Mona juz podawała eliksir życia.*
*-Będzie dobrze-powiedziała.*
*Zombie uciekał z szablą elfa.*
*Wróciłem do karczmy, żeby sie napić.*
*-I jak tam?-zapytał Arandir.*
*-W porządku, uciekł, ale zabrał twoją szablę.*
*-To nie moja-wyszczerzył się-więc nie przeszkadza mi to.*
*Okazało się, że w liście przejętym przed chwila była mowa o ataku. Ataku hord. Dla mnie był to wielki przełom w sprawie, dla cesarstwa był to wielki cios. W każdym razie poszedłem szybko spać nie zważając na przygnębione miny cesarskich.*

*<u>11 dzień Lammas</u>*

*Stan wojny. Nie musiałem iść do karczmy i słuchać kapitana, bo było to zbyt oczywiste. Jeszcze jak się kładłem spać to miałem wątpliwości co do poprawności tego co robię. Jedna część mówił, że nie powinienem pomagać wrogowi, ale druga nasuwała wciąż wizję Smoka w barwach zakonu. Otrząsnąłem się. W nocy miałem sen. Kolejny zresztą.*
*Widziałem w nim znów Bramę Północy, ale nieco inaczej. Nie stałem już na szczycie wzgórza i nie obserwowałem Smoka bezpiecznie zza granicy. Samotny oddział cesarskiej Gwardii stał na środku wypalonej ziemi gotowy do walki. Dookoła śmierć i zniszczenie, ani śladu żywego ducha. Stałem za oddziałem i choć nie widziałem ich twarzy to wiedziałem, że boją się. Na wschodzie pojawił sie szary sznur, sznur kolumny marszowej. Sznur w miarę jak się zbliżał stawał się coraz grubszy i wyraźniejszy. Byli to esterlingowie maszerujący w kierunku ostatniego oddziału cesarstwa. Kolumna rozwinęła się i zamieniła w szereg. Szczęknęły cięciwy kuszy, gwardziści bronili się. Kolejny szczęk cięciw i kolejne ciała padają na ziemię. Esterlingowie obchodzą oddział dookoła i zachowują się jakby mnie tam w ogóle nie było. A oni stoją najeżeni pikami opancerzeni. Żelazny Jeż. Kolejne bełty z trzaskiem wbijają się w ciała barbarzyńców. Wtedy zauważyłem, że spokojny dotychczas sztandar cesarstwa ze smokiem zaczął gwałtownie łopotać, zerwał sie z drzewca i poszybował w górę. Mimo, że oddalał sie ode mnie to wcale nie wydawał się mniejszy. Sztandar rósł, a smok materializował sie i nabierał metalicznego połysku. Dreig-a-Hern zawisł nad ostatnim oddziałem upadającego cesarstwa. W oddali zapiszczały chanackie piszczałki...*
*Uznałem to za dostateczny argument za, aby udać się razem z nimi do walki. W karczmie panowała ponura atmosfera, każdy zwalał winę za nocną porażkę na kogoś innego, aż w rezultacie nikt nie czół się winny. Co jakiś czas słychać było westchnienie Zibba: "A myślałem, że to wczoraj byliśmy w dupie", które świetnie oddawało ogólne morale grupy. Potem było śniadanie, jedyne niemal ciche śniadanie w historii. Nikt nie krzyczał, nikt nie chciał się śmiać. No może prawie nikt, bo Mija i Rien nadal uważali stratę Draig-a-Herna za świetną zabawę, jednak po kilku żartach skończyły. Po skończonym, posiłku przyszedł czas na odpoczynek.*
*-Nie martw się-pocieszały krasnoludy gwardzistkę .-Nie wszystko stracone.*
*-Wszystko stracone, wszystko!-odpowiedziała łkając.-Wszystko, a wy tego nie rozumiecie do cholery.*
*-Rozumiemy-zaczął Hodo-ale podchodzisz do sprawy chyba zbyt emocjonalnie. Mi też żal straty artefaktu, ale staram się szukać racjonalnego rozwiązania, a nie walić głową w mur.*
*-Masz rację-usiadła-ale co w takim razie mam zrobić?*

*-Na razie potrzebujemy informacji, bo w ślepo nie będziemy atakować.*
*Wtedy do zajazdu wszedł kapitan.*
*-Hordy zaatakowały...-zaczął.*
*-Wiemy, mamy to na piśmie-przerwała mu Mija.*
*-... i w tej chwili oblegają Kłodzko. Wasze siły są zbyt słabe, aby wspomóc miasto, więc waszym zadaniem będzie zajęcie północnych fortów i obronienie się przed barbarzyńcami. Żaden z nich nie może ujść z życiem. Zrozumiano?*
*-Tak jest-odpowiedział Hodo. Kapitan opuścił zajazd i udał się na Dzikowiec do swojego oddziału.-Za półtorej godziny macie być gotowi do wyjścia.*
*-Przepraszam bardzo-wcięła się znów Mija-ale nie jest pan juz najwyższy stopniem w tym oddziale.*
*-A kto niby?-zapytał Zibbo.*
*-Wicehrabia Rasgalen ma stopień podporucznika, a więc wyższy niż ty Hodo.*
*Wszyscy spojrzeli na młodego szlachcica z lekkim niedowierzaniem jakby uważali, że ktoś taki jak Fein Rasgalen nie jest w stanie dowodzić nawet oddziałem zwiadowczym.*
*Nastąpiła tutaj krótka sprzeczka między wspomnianym Rasgalenie, a chorążym zakończona podzielnością władzy: wicehrabia w marszu i na postoju, chorąży Hodo w walce.*
*-Półtorej godziny,-pomyślałem-mam nadzieję, że dam radę. Pójdę, bo nie mam innego rozwiązania. Chanat w mojej osobie musi wspomóc cesarstwo, nie wiem jak, ale musi.*
*Poszedłem po haszet i rozłożyłem się w wartowni twarzą ku przepięknemu miastu El-Antras. Ach, jak tylko sobie przypomnę piękne meczety i minarety w tym mieście. Niemal tak piękne jak w stolicy. Położyłem saberę przed sobą i zacząłem sie modlić. Długo, bardzo długo kolebałem się przód-tył wymawiając jak w transie słowa modlitwy. Jak przez mgłę słyszałem słowa Vilretha, który nabijał się z moich modłów. Ale nie zważałem na to teraz ważne było to co dzieje się wewnątrz. Kiedy poczułem wewnętrzne olśnienie, całkowitą jasność umysłu, wtedy skończyłem modlitwę.*
*-Zbiórka, wychodzimy-zawołał Hodo, akurat kiedy wyszedłem z namiotu.*
*-No, Ablu,-powiedziałem do siebie cicho-czas skopać parę dup w imię Chanatu. A Vilrethem zajmiesz się po powrocie.*

**********

*Droga była długa i męcząca. Nie było tego widać po żadnym z piechurów, którzy szli koło mnie. Do tej pory nie mogłem sie pozbierać w sobie ze śmiechu kiedy Rasgalen powiedział:*
*-Ablu, daję ci wybór szafot, albo walka.*
*Zdanie to rozbawiło mnie do granic wytrzymałości, ale odpowiedziałem wymijająco, że dokonałem już wyboru. Teraz maszerowałem pod jego komendą i chcąc nie chcąc miałem wrażenie, że jestem intruzem. Ale na szczęście nie tylko ja miałem takie wrażenie, bo idący obok mnie Edric wstąpił do oddziału z dużo większą niechęcią i dystansem. Dochodziliśmy właśnie do miejsca, gdzie po lewej stronie drogi wyrasta wał kiedy spostrzegliśmy, że nie jesteśmy sami. To znaczy zwiad dostrzegł i poinformował o tym resztę oddziału. Grupka wojowników odzianych w skóry skrywała się za niewielkim nasypem. Syk lotek.*
*-Szyk! Formować szyk, tarcze na przód!-wrzeszczał Hodo, bo komenda właśnie przeszła na niego. Obok mnie stanął kozak.*
*-Dzięki, dam sobie radę-powiedziałem.-Tam masz więcej miejsca-wskazałem miejsce za plecami Riga.*
*-Nie dzięki, postoję tu, jesteś zbyt cenny.-odpowiedział z uśmiechem.*
*Nie wiedziałem jak przyjąć słowa roweńczyka. Przyjacielski żart czy Straż zabezpieczała sie na wypadek mojej nagłej zmiany... frontu. Nie wiedziałem co jest mniej prawdopodobne: myślący Strażnicy czy miły kozak. Ostatecznie stanęło na inteligencji, choć nie można było wykluczyć żadnej możliwości. Świst strzał wyrwał mnie z zamyślenia. Kozak nadal stał obok, a kilka osób biegło, aby zajść nasyp od lewej. Wyczekałem na przerwę w salwach i dołączyłem do nich. Nie wiem co mnie podkusiło, ale uznałem, że tak będzie lepiej. Świst, inkantacja, smród palonego drewna. W tym samym czasie oddział na drodze podchodził coraz bliżej i bliżej skracając dystans sobie i*

*przeciwnikom. W końcu ci ostatni nie wytrzymali i wybiegli. Wybiegli i prawie natychmiast uciekli zostawiając kilku rannych na drodze. Naszych rannych, swoich martwych. Nie zamierzałem użyć jeszcze magii, byłoby to co najmniej głupie. Esterlingowie wycofali się kilka metrów dalej na drogę i tam szykowali się do szarży na naszą grupę. I poszli.*
*-Stado rozpędzonych wojowników-pomyślałem wyciągając saberę z brzucha jednego z nich-ma niby zniszczyć Styrię? Próbowaliśmy to miliony razy.*
*Wtedy pojawił sie swego rodzaju olbrzym: wielki, szeroki jak baszta stanął na drodze. Za cholerę nie chciałem z nim walczyć,*
*-Apare torden vennisimi-krzyknąłem zanim ich szaman zdążył rozproszyć zaklęcie. Z dłoni wyleciał świetlisty piorun i z całą mocą uderzył w pierś wojownika odrzucając go na kilka metrów. -Będzie mi stał na drodze-pomyślałem patrząc na oddział uciekający w kierunku kolejnych umocnień-nikt mi nie będzie stał na drodze, nie ma tak dobrze. Mona biegała od rannego do rannego, a sycząca mikstura zasklepiała kolejne rany. Oddział zbierał sie do dalszego pościgu.*
*-Dalej, zbierać się-poganiał Hodo. Wtedy wpadłem na genialny pomysł jak zasłużyć się w walce i przy okazji mieć szansę na przyjrzenie się wrogowi z bliska. Zamierzałem osłaniać alchemiczkę w trakcie całej walki, abyśmy nie stracili czasem zaplecza medycznego. Dobiegliśmy w końcu do płaskiego terenu ograniczonego z dwóch stron skarpą i z dwóch stron wałem. To właśnie na wale leżącym naprzeciwko nas rozstawili swoje siły barbarzyńcy. Pozycja doskonała do obrony ze względu na rozmiar wału czyli jakieś cztery konie, a stromy tak, że nie dało się wejść z bronią w ręku. Jedyną nadzieją był tunel przebiegający po prawej stronie i idąca nad nim ścieżka. W to miejsce właśnie planował uderzyć Hodo.*
*-Trzeba jak najszybciej atakować! Gdzie wicehrabia?*
*-Zdaje się, że idzie gdzieś z tyłu.*
*-Kurde. Dobra, nie ma czasu, trzeba szturmować, bo wystrzelają nas jak kaczki.*
*Uwaga była celna, bo przeciwnik usadowiwszy się na dużo wyższej pozycji miał znaczą przewagę używając łuków. Neil szybko znalazł dobrą pozycję, aby razić wroga, ale szybko musiała ją opuścić. Spojrzałem przed siebie. Szaman stał na nasypie mając oko na nas wszystkich. Gdyby tylko Shamaroth był w pobliżu, dwóch zaklęć by nie zblokował na raz. Ale kapłana nie było tam gdzie ja osłaniałem alchemiczkę. Ta ostatnia skryta za drzewem na skraju płaszczyzny ściskała kurczowo flakon z miksturą, a w sakwie pobrzękiwały kolejne. Trzeba było oddać jej honor, z całej "drużyny Rasgalena" wykonywała najlepiej swoje zadanie. Obejrzałem się. Oddział z Obieżyświatem na czele zabiegał wał od lewej. Mając jednocześnie na oku esterlingów oraz Monę starałem się obserwować poczynania tej grupki. W międzyczasie Gadjung, Sigmar i jeszcze kilka osób zachodziły wał od prawej. Niedaleko mnie Shamaroth przejmował kontrolę nad jednym z przeciwników. Bezskutecznie. Ostra sugestia szamana sprawiła, że wojownik zamiast towarzyszy zabił samego siebie. To był odpowiedni moment.*
*-Apare torden vennisimi appositum-ryknąłem wykonując szybko gesty. Z dłoni wyleciał piorun, przeleciał parę metrów, po czym rozdzielił sie na kilka zupełnie identycznych. Usłyszałem trzask i poczułem swąd palonego mięsa. Cesarscy natychmiast wykorzystali ten moment na szarżę. Grupka Obieżyświata trafiła na berserka i musiała sobie jakoś poradzić sama. Gadjung z resztą stanęli wobec wielkiego wojownika z tarczą stojącego nad ścieżką rozdzielającą wał. Ktos z chrestem kamieni spadł w dół odrzucony silnym ciosem. Ale szliśmy na przód. Tarczownicy zwarli szyk i wdzierali na ścieżkę. W międzyczasie pojedyncze jednostki przebiegały tunelem odcinając uciekającym esterlingom drogę. Zerwałem się z miejsca tylko dlatego, że Mona zaczęła leczyć rannych. A było ich nie mało. Ci co trzymali się na nogach biegli w ślad za uciekającymi, ci co byli leczeni ruszali chwilę później.*
*Wał był zdobyty. Świadczyły o tym głównie ciała martwych i konających wrogów, ślady spalonej ziemi w miejscu gdzie szaman rzucał kule ognia oraz spalone drzewo, kiedy nie trafił. Ale drużyna nie mogła już tego widzieć zajęta pościgiem za barbarzyńcami. Przebiegaliśmy właśnie między krzakami kiedy pożałowałem, że nie poświęciłem chwili na zbadanie zwłok. Dobiegliśmy do swego rodzaju mostu, esterlingowie stali po drugiej stronie i szczerzyli zęby do walki.*
*-On ma moje miecze-krzyknął Illima z żalem w głosie.*

*-Ablu,-kapłan podszedł do mnie-musimy zgrać się jeszcze raz.*
*-Wiem. Ma odbić twoje czy moje zaklęcie?*
*-Spróbuję opętać tego tam dużego, to powinno pomóc.*
*-Powinno, ale kto wie.-westchnąłem wychodząc spomiędzy krzaków w których chowała się alchemiczka. Stanęliśmy na przeciwko mostu. Szczęście cesarskich, że szaman miał chwilową przerwę w rzucaniu kul ognistych, chyba kogoś leczył. W każdym razie nie próbował pozbyć się pięknie ustawionego muru z tarcz, wzmocnionego długimi mieczami i zdobyczną włócznią. Stanęliśmy z Shamarothem za nimi i zaczęliśmy inkantować, ja zacząłem, po chwili krasnolud.*
*-Apare torden vennisimi-piorun zmaterializował się i z sykiem poleciał prosto w szamana. Jednak refleks to była jego dobra strona. Krzyknął dwa słowa w swoim języku i piorun odleciał w naszym kierunku, kilka metrów nad nami. W międzyczasie kapłan już przejął kontrolę nad wybranym wrogiem i sterował nim jak pionkiem. Pionek zginął po chwili, a nasi nie chcieli za bardzo się przesunąć. W końcu w szeregach wroga zrobiło się zamieszanie i wykonali odwrót.*
*-Dalej, za nimi!-krzyknął Hodo, przepuścił dwóch tarczowników i pobiegł dalej. Pościgu ciąg dalsze nie satysfakcjonował wszystkich uczestników. Zanim dobiegłem do kamiennego murka walka trwała w najlepsze. Tarczownicy powoli nacierali robiąc sobie miejsce, a na flankach lekka piechota wybijała esterlingów od tyłu. Widok bardzo pocieszny muszę przyznać. Widząc, że alchemiczce nic nie grozi pobiegłem za oddziałem szykując już saberę do ciosu i oddychając głęboko. Piękne górskie powietrze miało tę właściwość, że znakomicie odnawia moc magiczną. Oddychając tak poczułem jak wracają we mnie siły. Nagle przeżyłem cos co elfy nazywają duie alvu, gdyż znów stanąłem do walki z innym wielkim wojownikiem. Trzeba im przyznać, że starają się ci esterlingowie, skoro wyrastają na takich wielkich. Było już dookoła niego kilka osób, które trzymały go na dystans, jednak nie można było przejść dalej. Po lewej stronie stał Rien, który widząc, że nadbiegam przeszedł do ataku. Przeciwnik sparował bez problemu i byłbym zdążył go ranić, gdyby nie jego nadnaturalna szybkość z jaką sparował mój cios. Ciosu szermierza już nie zdołał sparować i ciemna krew obryzgała futro na jego ramieniu. Biegliśmy dalej zostawiając kolejne ciała znaczące szlak ucieczki napastników. Droga zaprowadziła nas do kolejnego mostu nie tak stromego jak poprzedni, wręcz przeciwnie. Łagodne zejście na środek wręcz zachęcało do nieustannych manewrów w te i nazad. Esterlingowie ustawili się za mostem w szyku, ramię przy ramieniu. Łucznicy zajęli dogodne pozycje za plecami towarzyszy. To samo uczynili Arandir i Neil. Pozbieraliśmy większość strzał nieprzyjaciela, które nie trafiły w cel lub nawet te które trafiły i zakrzepła krew tworzyła karminowe ornamenty. Stanąłem na lewym skrzydle za Rigiem i Hodem mając obok siebie Neila. Mogłem rzucić jeszcze parę zaklęć, ale czekałem. Wróg nie czekał. Pierwsza dwudziestka uderzyła z szałem na szereg tarcz, ale te nie ustąpiły. Był to błąd, który mogliśmy drogo przepłacić, gdyż z tarcz zaczęły się sypać drzazgi informujące o złym stanie drewna. Jednak cesarscy nie ustępowali w walce i kolejni wrogowie padali przed nimi tworząc niewielki wzgórek. Łucznicy po obu stronach nie pozostawali dłużni towarzyszom i szyli z niewielkiej odległości śmiertelne brzeszczoty. Znów szermierz miał prawo do radości, bo udało mu się odbić lecącą strzałę. Spróbowałem tej sztuczki na strzale lecącej w moim kierunku. Ustawiłem się, łucznik puścił cięciwę, zawinąłem saberą i z napięciem oczekiwałem rezultatu. Nie poczułem oczekiwanego ukłucia w okolicach ramienia, usłyszałem jedynie uderzenie metalu o metal co oznaczało powodzenie. Otworzyłem oczy. Walka trwała nadal. Kolejnych trzydziestu esterlingów szturmowało obronę mostu. Dowódca widocznie bawił się naszym oddziałem, chciał zobaczyć jak giniemy w mękach, a nie szybko i bezboleśnie. Górka zwłok przed tarczownikami powiększała się. Wtedy stało sie coś czego w sumie mogliśmy się spodziewać. Zza zakrętu którym przyszliśmy wyłoniło sie dziesięciu wojowników z futrami na ramionach. To był koniec wiedziałem o tym znakomicie. Esterlingowie na moście zawyli radośnie, Hodo próbował zorganizować obronę drugiego frontu, ale bezskutecznie. Jak we śnie, oddział otoczony zewsząd przez wrogów. Na szczęście nie było sztandaru, który mógłby się zerwać i z łopotem ulecieć w niebo. Był za to strach, ból i potworne zmęczenie. Yngvild, Hodo, Zibbo i Shamaroth wspierani przez łuczników podjęli ostatnią rozpaczliwą próbę przebicia szyku. Obróciłem się. Rien i Mija w nierównej walce osłaniali tyły.*

*-Apare torden vennisimi-krzyknąłem zawijając saberą. Jeden z napastników padł, następny cięty przez Riena po ramieniu runął mu pod nogi. Nagle znalazł się Omus osłaniający do tej pory łuczników i z nadzwyczajną jak na swoje rozmiary siłą chlasnął po karku najbliżej stojącego wroga. Pozostało sześciu, którzy naparli na naszą grupkę. Szermierz bronił się dzielnie, ale po chwili padł z krzykiem. Zająłem jego miejsce i próbowałem odeprzeć wrogów. Mija wpadła chyba w coś na kształt berserka: cięła bez opamiętania po wszystkim dookoła co powodowało, że nikt, absolutnie nikt nie odważył się do niej podejść. Walka na nowo przeniosła się na jeden front, a Mona opatrywała rannych. Stanąłem na swojej pozycji. Nie mogłem zrobić już nic magicznego, absolutnie nic. Pozostawało mi czynić swoją powinność i bronić bezbronnej kobiety. I pewnie broniłbym dalej, ale ktoś znalazł na to lekarstwo. Kolejny łucznik, który stanął na tej samej pozycji, tej samej odsłoniętej pozycji, z której Neil zdjął już paru, napiął łuk i wymierzył. Uznałem, że znowu spróbuję szczęścia. No właśnie. Spróbowałem i przegrałem. Widocznie limit szczęścia na ten dzień wyczerpał się kiedy udało mi się uniknąć dwóch kul ognia i dwóch strzał pod rząd. Strzała leciała, to pamiętałem, zbliżała się, ale machnąłem saberą w złą stronę i nie trafiłem. Najpierw uderzenie, potem ból, a na koniec trzask łamanej łopatki. Pamiętam, że padłem na twarz, a Mona szybko podbiegła, żeby mi pomóc.*
*-Zawiodłem-pomyślałem-zawiodłem mojego władcę, nie wrócę już.*
*-Ameradi someradi hel-im ina-zamruczałem obracając się na plecy.-Horema-di sel ala-di hel-im ina.*
*Dalej była ciemność...*

**********

*Poczułem, że wracam. Najpierw ulga znów czuć się żywym, potem uczucie zimna na plecach i wiatru owiewającego mnie dookoła. Chociaż nie dokładnie. Z lewej strony czułem cos ciepłego i niewątpliwie żywego. Otworzyłem oczy. Błysk światła oślepił mnie na chwilę.*
*-Witamy wśród żywych-powiedział Shamaroth z uśmiechem. Zawsze to robił, a przynajmniej zawsze kiedy go widziałem przy wskrzeszaniu. Obejrzałem się dookoła i niemal znów umarłem jak zobaczyłem to coś ciepłego. Był to Dinim, który musiał polec później niż ja, leżał w kręgu i przebudzał się. Odskoczyłem jak poparzony i wstałem na równe nogi.*
*-Macie-powiedziała Mona wręczając "przedłużacz"-na zdrowie!*
*Założyłem jako pierwszy na szyi. Od razu poczułem sie trochę lepiej. Wizje "z tamtej strony" wciąż miałem w głowie.*
*Oddział przeżył, dookoła leżeli martwi barbarzyńcy. Akcja przeniosła się w góry, ale nie były to góry na granicy z cesarstwem. Oddział stał przed jaskinią. Wielka kamienna jaskinia zionęła smrodem rozkładających się ciał. Gwardziści zawahali się przez moment po czym ostrożnie zbliżyli się do wejścia w kilku niewielkich grupkach. Ziemia zadrżała. Smok wypełzł przed grotę. Z boku wystawała mu włócznia na długość konia. Skrzeczał głośno zanim dostrzegł intruzów. Zmalał i przybrał postać komtura. Choć nigdy nie widziałem komturii, wiedziałem, że to właśnie tam przeniosła się akcja. Wysokie mury, fosa głęboka na piętnaście koni, wojsko na murach. Oddział stał u stup budowli, budowli, która wyraźnie przytłaczała ich swoim rozmiarem...*
*Nie wiedziałem co było dalej, ale był to wyraźny znak, aby rozprawić się z komturem raz na zawsze. Teraz jednak moim największym zmartwieniem było jak zebrać dwanaście osób chętnych, aby mnie wspomóc. Chodziłem od grupki do grupki i prosiłem o pomoc. Po dłuższej chwili miałem komplet i przekazałem artefakt skrytobójcy. Teraz musiałem tylko odzyskać straconą moc. Pożyczyłem od Candice komponenty do przygotowania rytuału po czym poszedłem naszkicować krąg. Pobieranie mocy odbyło się bez zakłóceń i już po pół godziny od wskrzeszenia byłem zdolny do dalszej pracy. Poszedłem do namiotu sie pomodlić za uratowanie i w podzięce za możliwość oglądania "tamtej strony". A było za co dziękować zarówno w pierwszym jak i w drugim wypadku. Akurat kiedy kończyłem się modlić usłyszałem wybuch, potem drugi i wrzask. Wybiegłem szybko z namiotu i w biegu wyciągałem saberę. Gnojki nie dadzą chwili wytchnienia. Niewierni. Spojrzałem w górę i widziałem kilku ludzi w ciemnych tunikach uciekających na drogę z tarczą i kilkoma mieczami.*

*-No ładnie-pomyślałem-nie przypilnowali i teraz mają. Szkoda tylko, że ucierpią na tym wszyscy. Wspiąłem sie po stopniach i pobiegłem do karczmy z której dochodził największy hałas. Przed nią stał już Zibbo z kikutem ociekającym krwią oraz rozcięciem wzdłuż torsu. Nie krwawił już, tkanki potraktowane miksturą zasklepiały się powoli.*
*-Co się stało?-zapytałem.*
*-Wpadli jacyś najemnicy...-zaczął Hodo.*
*-Nie jacyś tylko Gildii-wtrącił Zibbo usiłując utrzymać równowagę.*
*-...i pozbawili krasnoluda lewej ręki oraz-zakaszlał powstrzymując się od śmiechu-lewe jądro. Strażnicy parsknęli śmiechem.*
*-Śmiecie się, śmiejcie-odparł Zibbo-bo to nie was spotkało.*
*-Kapłanie-Yngvild zwróciła się do Shamarotha-może dałoby się coś z tym zrobić?*
*-A co ręki nie ma?-spytałem. Zawsze można by przyszyć na miejsce.*
*-No nie ma właśnie, zabrali-wyjaśniła gwardzistka.-To jak? Można cos zrobić z nim?-skierowała się znów do kapłana.*
*-Mogę spróbować pomodlić się o cud-zaproponował Shamaroth.-Ale nie wiadomo jaki będzie rezultat.*
*-Ja ci mogę pomóc w modlitwie-zaproponował Illima.*
*-I ja-powiedziałem-pomodlę się do Boga o cud.*
*Nie miałem w tym absolutnie żadnego interesu, ale uznałem, że każda pomoc się przyda.*
*-W porządku. Kto jeszcze się będzie modlił?-zapytał krasnolud.*
*Nikt nie odpowiedział.*
*-To w takim razie za pięć minut zaczynamy. Wszyscy, którzy chcą pomóc proszę na pieniek i skupić się na... obiekcie.*
*Mija parsknęła śmiechem. Ktoś uspokajał ją. Pięć minut później byliśmy juz w trakcie modlitwy. Rozłożyłem haszet skierowałem na południowy wschód, położyłem broń i zacząłem. Kilka osób, które poczuwały się wspomóc Zibba stanęły na pieńkach i rozpoczęli cichą medytację. Trwała ta cisza zaledwie dwie minuty kiedy Mija zaintonowała: "Jądro! Ręka!" . Po chwili dołączyły sie kolejne osoby i powstawało głośne tło cichej modlitwy Shamarotha, Illimy i mojej. To znaczy Ich cichej, a mojej mruczanej mantry. Nie przerywając modlitwy słuchałem jednym uchem ich inkantacji, a resztą umysłu skupiałem się na swojej modlitwie. Po około piętnastu minutach powstało drobne zamieszanie wśród oglądających. Okazało się , że modlitwa przynosiła efekty.*
*-Jądro! Ręka! Zibbo!! Rośnij!- inkantacja zwiększyła tempo. Z rękawa Zibba zaczęło coś wyrastać, nie wiadomo czy ręka czy jądro. Wszyscy odetchnęli z ulgą kiedy z koszuli ostatecznie wyłoniły się palce, dłoń, a potem nadgarstek.*
*-Hurrra!!!-krzyknęli medytujący zeskakując z pieńków i ściskali krasnoluda. Jedynie kapłan, Illima i ja modliliśmy się dalej.*
*-Ej, chłopaki, kończcie już-szturchnął mnie ktoś-udało się.*
*Ale ja musiałem skończyć modlitwę nie takim "ciach" urwaniem. Wstałem, Shamaroth modlił się jeszcze, Illima pogrążony był w głębokiej medytacji. Odniosłem haszet do namiotu i poszedłem do karczmy.*
*-Dzięki bracie-krzyknął Zibbo rzucając się na mnie. Wysoki jak na krasnoluda sięgał mi do polowy piersi.*
*-Nie ma za co-powiedziałem odwzajemniając uścisk.-Nie mogliśmy cię pozostawić kaleką.*
*Krasnolud uśmiechnął się i zszedł do wartowni. Reszta dnia upłynęła zupełnie spokojnie pod hasłem:"Kto jak się zasłużył dla walki i dlaczego tak mało?" Zwłaszcza niepocieszony był Hodo, który uważał, że tylko część oddziału walczyła, a reszta się po prostu obijała i "spacerkiem dochodziła na miejsce kolejnych walk". Nie byłem wymieniony, ale spojrzenie krasnolud mówiło samo za siebie. Około trzeciej warty poszedłem spać. Nad Górami Srebrzystymi zbierały się chmury burzowe.*

*<u>12 dzień Lammas</u>*

*Dzień budził się na nowo, nieprzerwanym trybem świata. Trwało to od wieków i działało niezawodnie. To właśnie ta perfekcja w budzeniu postawiła mnie na nogi. Dookoła wszyscy spali, więc po cichutku wstałem i opuściłem namiot. Umyłem się i szanując ich se zabrałem haszet, aby pomodlić się w wartowni. Wszędzie była absolutna cisza, nikt nie rozmawiał, nikt nie chodził po zajeździe. Gdyby nie chrapanie ze środkowego namiotu pomyślałbym, że nikogo nie ma. Po około dwudziestu minutach, które spędziłem na rozmyślaniu, rozmowie z Demonem i znów rozmyślaniu, zaczęli się schodzić cesarscy. Po wczorajszym dniu miałem do nich trochę więcej szacunku, ale tylko troszeczkę. Przy śniadaniu jednak mój szacunek do cesarskich barw spadł na łeb na szyję. Okazało się, że ci pozbawieni honoru barbarzyńcy spotkali się w nocy z esterlingami i doszło do zawieszenia broni. Mało tego, dostali od ich informacje o tym gdzie odbędzie się spotkanie Braterstwa, elity tego regionu pociągającej za sznurki, i odwiedzili ich mordując wszystkich. Tym sposobem wicehrabia Fein Rasgalen został po wuju hrabią Rasgalen na Silberberg. Ale mało mnie to interesowało! Ci cholerni durnie myśleli, że mogą mnie tak łatwo oszukać?! Już ja im pokażę cholera. Cesarskie psy spuszczone z łańcucha. Miałem ochotę wstać wtedy w karczmie i zniszczyć cały ten budynek, ale zdrowy rozsądek powstrzymał mnie. Te psy można wykorzystać, naszczuć odpowiednio i skorzystać z tego. Podsłuchali także, że w południe ma z komandorii wyruszyć konwój z artefaktem. To była okazja, aby pozbawić zakon cennej broni i uratować cesarstwo. Oczywiście mi zależało jedynie na zabraniu artefaktu z rąk zakonu, a nie dźwigać z klęczek jakiegoś upadłego kolosa. Dużo przed południem oddział był gotowy do wymarszu. Nie było widać kapitana, który widocznie zginął pod Dzikowcem. Cesarscy zmartwili się jego brakiem, ale chcąc nie chcąc trzeba było wyruszyć. Wiedzieliśmy jedynie, że w południe wyjdą z komandorii i nic więcej. Nie wiedzieliśmy ilu, dokąd, ani którędy. Jedyna pewna droga to przez Bramę Polową. Było tam duże skrzyżowanie czterech dróg gdzie łatwo było zgotować zasadzkę. Plan zatrzymania zakonników rozszerzał się z każdą chwilą: oślepiający proszek Mony, paraliż Varthanisa czy fala dźwięku Miji. Od wyboru do koloru. Kwadrans przed południem zajęliśmy pozycje. Ja stałem z cesarskimi przy głównej drodze, w jasnym stroju nie miałem szans na skuteczne ukrycie w krzakach. Po paru minutach oczekiwania i jeszcze kilku sekundach usłyszeliśmy. Najpierw krzyk, potem pisk Miji, a na końcu uderzenia broni i krzyki ranionych i zabijanych. Zanim dobiegliśmy było po wszystkim.*
*-Trzymaj-powiedział Kulbert podając medalion gwardzistce. Ta włożyła go w żłobienie na wieku i przesunęła je. W środku leżało jedynie dłuto, które zdawało się niemo kpić z nas.*
*-No to na komandorię-krzyknął Borys. Pierwszy raz chyba aż tak podniecił się jakimś atakiem.*
*-Ablu,-zwrócił się do mnie Edric-potrafisz operować magią wody?*
*-Potrafię, a dlaczego?*
*-A ognia?*
*-Ognia nie.-odpowiedziałem. Mężczyzna otworzył sakwę i wręczył mi pierścień z błękitnym kamieniem.*
*-Masz, zdobyty, wzmacnia zaklęcia magii wody. Może się przydać.*
*-Skąd go masz-spytałem nakładając pierścień na mały palec. Poczułem lekką wilgoć w powietrzu wokół mnie.*
*-Od alchemika-wyszczerzył się.-Drugi od księcia Kamieńca.*
*Nie zwracając na to uwagi jak niemoralne było to posunięcie przyłączyłem się do grupki truchtającej pod górę drogą na komandorię. Potykając się o kamienie i wystające korzenie dobiegliśmy na szczyt. Przed nami stał wielki budynek z głęboką fosą, bramą i mostem zwodzonym. Na murach siedzieli najemnicy, na dziedzińcu wesoło szykowali się kolejni. Z kazamat wybiegali kolejni, a także zakonnicy w czerwonych tunikach. Ktoś zadął w róg. Zaświszczały strzały. Szybko ukryliśmy się za nierównościami terenu i obserwowaliśmy kasztelik szukając wejścia w sam raz dla nas. Neil zdobywszy w nocy lepszy łuk strzelał z szatańską precyzją prosto w gardła wrogów. Odpowiedział grad strzał. Trzeba było przemyśleć co dalej. Sytuacja była beznadziejna. Aura antymagiczna była tak silna, że za pierwszym razem jak ją poczułem to mało się nie przewróciłem. Był to wyraźny sygnał, że nici z użycia czarów. Spojrzałem na Varthanisa, który trzymał się za głowę. Widocznie nekromanta też odczuwał negatywne efekty tej zapory.*
*-Szturmujemy fosą?-zaproponował Hodo. Fosa była głęboka, ale sucha i szturm był możliwy.*

*-A masz inny pomysł panie chorąży-odparła Yngvild patrząc z ukosa na umocnienia. Jakikolwiek by nie był kolejny pomysł krasnoluda to byłby beznadziejny w porównaniu do poprzednika.*
*-Neil, Arandir, Candice-zwrócił się do łuczników.-Osłaniajcie nas jak będziemy schodzić.*
*Łucznicy zasalutowali, każdy po swojemu i udali się na z góry upatrzone pozycje. Na murach zrobiło się zamieszanie. Ktoś biegał, kto inny wydawał rozkazy, świszczały strzały. To właśnie one zmotywowały mnie początkowo do ukrycie się za drzewem i osłaniania saberą, ale po chwili kiedy oddział ruszył do szturmu, ruszyłem z nimi. Przede mną szła Yngvild jako pierwsza. Strome zejście w dół oznaczało wystawienie się na ostrzał, ale nie to było istotne w tej chwili.*
*-Dalej cholera, schodzić-ryknęła Yngvild na resztę oddziału, który radośnie stał na górze i nie chciał iść-wystrzelają nas tu!*
*Kilka osób poczuło się zobligowanych do zejścia, ale na tym się skończyło. Gwardzistka zasłaniała się tarczą jak mogła, ale ostatecznie oberwała w okolice biodra. Mona, która szczęśliwie była wśród tych, którzy zeszli, podeszła do rannej, wyrwała strzałę i zalała ranę. Spojrzałem w górę na łucznika. Wiedział, że jestem bezbronny, a mimo to nie strzelił, ani we mnie, ani w osłanianą przeze mnie alchemiczkę. Kiedy gwardzistka wstała, oddział zaczął się wycofywać. Powoli, każdy na własną rękę się osłaniając, opuszczaliśmy fosę.*
*-Cholera, nie da rady-powiedziała Yngvild po wyjściu na powierzchnię.-Czemu nie posłaliście reszty?*
*-Posłaliśmy kilku na zwiad z prawej i lewej strony-odrzekł Hodo-a wy mieliście ich trochę zająć.*
*-No to wam wyszło! Naprawdę!*
*Po minucie jednak się uspokoiła kiedy wrócił do nas Kulbert i Arandir.*
*-Po lewej stronie jest wejście,-zaczął elf-mały tunelik, którym nie przeciśnie sie tarczownik, ani nikt z dużą bronią.*
*-No to pójdą lekkozbrojni-wyciągnął wniosek Hodo.-Zbierz ochotników.*
*-Za to ja-powiedział podchorąży-mam gorsze wiadomości.*
*-Mów.*
*-Z prawej strony jest wejście, strome wejście na wał.*
*-Był tam ktoś?*
*-Jak ja byłem to nikogo nie było-uśmiechnął się.*
*-Świetnie, zbierz kilku ludzi i szturmujcie-humor chorążego poprawiał się z każdym raportem.*
*Oddziały w końcu poszły, a my zbieraliśmy siły do następnego zrywu. Patrzyłem na te mury otaczające komandorie kiedy usłyszeliśmy trzask w fosie. Był to nie kto inny jak grupa Obieżyświata czyli Illima, Edic i Dinim. Brakowało Miji i Arandira.*
*-Gdzie elf i bardka-krzyknął Hodo.*
*-Tam coś było-odpowiedział Obieżyświat, a jednocześnie posuwał się z oddzialikiem na przód-coś ich zabiło.*
*-Co to było?-zapytałem blady. Wiedziałem co to MOGŁO być.*
*-Nie wiem, zasyczało niewyraźnie i wciągnęło ich do środka.*
*Oczywiście w normalnych warunkach lista stworzeń, które mogły się ukryć w ciemnym wilgotnym loszku komandorii była długa, ale to nie były normalne warunki. To był zakon Indry, słudzy jakiegoś demona, zakon, który jak wiadomo nie cofnie się przed niczym w walce o władzę. Dlatego to mógł być najwyższy wampir. Nie zamierzałem nikomu mówić o tym, bo nie miałem pewności, a poza tym nie zależało mi na wzniecaniu paniki. Podszedłem tylko do gwardzistki.*
*-Masz-powiedziałem wyjmując z sakwy srebrny nożyk-wiesz co tam siedzi?*
*Spojrzała na ostrze.*
*-Wampir?*
*-Tak, ten, którego nie udało się wam wtedy zabić.*
*-Cholera, Ho..*
*-Cicho, nie zależy nam na panice przecież.*
*-W porządku-schowała nożyk do sakwy.-Ale dlaczego sam go nie zabijesz?*
*-Bo jest zbyt potężny, nie dałbym rady bez magii.*
*Wtedy do moich uszu doszły okrzyki z prawej strony. Normalne jak kilku chłopa rani się wzajemnie,*

*ale jeden krzyk wybił się ponad inne.*
*-MAG!!!!*
*Nie wiedziałem czy to ostrzeżenie czy prośba, ale zerwałem się natychmiast i przebiegłem pod nisko zawieszonymi gałęziami. Na stoku trwała walka. Ale nie z przeciwnikiem tylko z trudnym terenem. U stóp stała Mona z ampułką w ręku, a kilka metrów przed nią grupa mężczyzn próbowała podejść pod górę.*
*-Dalej, nie obijać się-krzyczał Kulbert podchodząc pod stok. Z prawej strony Borys z łatwością wskakiwał od korzenia do korzenia. Rigo z jednym okiem i jedną tarczą trochę wolniej za nim. Po lewej stronie Gadjung i Sigmar wspinali się używając wszystkich kończyn, a środkiem kroczył Sigbert. Kolejna kula ognia zmusiła ich do szybkiego porzucenia mozolnej wspinaczki i ucieczkę na dół, gdzie stałem ja.*
*-Przyszedłem wam pomóc-powiedziałem-w środku się nie przydam.*
*Kulbert spojrzał na mnie podejrzliwie, ale nie rozwinął w żaden sposób tej myśli. Z lewej strony, fosą nadchodziła drużyna Obieżyświata. Po chwili wzmocnieni posiłkami szarżowaliśmy na górę. Droga istotnie była trudna i byłem pełen podziwu dla Sigberta w kolczudze wchodzącego na szczyt. W końcu dosięgliśmy celu. Stał tam mag z mieczem i włócznią oraz kilku zakonników z lekką bronią. Uderzyliśmy z furią na wroga, a ten z równie wielką furią odpowiedział. Zakonnicy po lewej stronie zaczęli prosto i trywialnie umierać, mag obracał się w kółko i żgał włóczniom, a na prawym skrzydle Borys dokonywał rzezi. Wszystko wskazywało na to, że prawe skrzydło komandorii zostanie zdobyte, ale mag potrafi zaskoczyć. Na wale po lewej stronie szykowali się do miażdżącej szarży Obieżyświat, Sigmar i Gadjung. Mag zaczął coś mówić, kiedy barbarzyńca wybiegł z grupy. Juz chciałem ciąć czarodzieja po kolanach, ale nie zdążyłem. Czerwona wstęga światła wydobyła się z ręki maga i oplotła olbrzyma. Obalił się na ziemie i leżał bez czucia. Był to paraliż, perfekcyjnie rzucony. Sytuacja się wyraźnie skomplikowała kiedy mag zaczął recytować kolejne zaklęcie.*
*-Uciekać, to kula ognia-ostrzegłem towarzyszy i sam jako pierwszy pokazałem plecy. Przyszedłem zwyciężyć, a nie dać się zabić i to przez niewydarzonego zakonnego kuglarza. Zgodnie z moimi oczekiwaniami ognista kula wyleciała z rąk magika i uderzyła w miejsce, w którym przed chwilą staliśmy. Jakby tego było mało, niewysoka rudowłosa zakonniczka sięgnęła do leżącego barbarzyńcy i zabrała jego młot. Teraz wejście było niemal zastawione długą bronią.*
*-Dalej, na wały po obu stronach i do przodu-krzyczał podchorąży wracając na swoją poprzednią pozycję. Szedłem po prawej stronie, obok mnie Borys, za mną Rigo. Dopiero na szczycie stojąc twarzą w twarz z rudowłosą wojowniczką zdałem sobie sprawę z mojego fatalnego położenia. Za mną było drzewo, o które mogłem się oprzeć, ale które przeszkadzało w ucieczce. Borys próbował obejść krawędź z prawej strony. Po lewej stronie padł ostatni najemnik, towarzysze mieli wolny dostęp do maga. Ten ostatni odwrócił się do nich twarzą, a więc do mnie bokiem co natychmiast wykorzystałem tnąc go przez plecy. Mój atak wykorzystała zakonniczka z młotem i uderzyła z całej siły. Sparowałem i odepchnąłem ją od siebie. Borys zakręcił szablą nad głową i wbił sztych aż po rękojeść.*
*Prawe skrzydło było zdobyte!!*
*Ruszyliśmy dalej szykiem dwójkowym, aby pięknie rozwinąć się na dziedzińcu, ale cos musiało pójść nie tak. Przez chwilę widziałem czerwone tuniki wyłaniające się zza zakrętu którym przyszliśmy, a w następnej chwili nikogo tam nie było. Nie zważając na to wpadliśmy na dziedziniec dokładnie w momencie kiedy łucznikom na murach skończyły się strzały. Zakonnicy w panice rzucili się do ucieczki do kazamat. Dwa ładunki ogłuszające odrzuciły nas na sporą odległość, co pozwoliło wrogom uciec do środka. Ktoś podbiegł do bramy, obrócił kołowrót i cesarscy wlali sie na dziedziniec. Ja sam odsunąłem się i patrzyłem jak łucznicy usuwają najemników z wejścia. Taka walka trwała kilka minut, w trakcie której spróbowałem raz użycia magii, ale na niewiele się to zdało. W końcu wrzucono ostatni ładunek dymny, który gwizdnęliśmy alchemikowi i łotry musiały się wycofać. Przysiadłem na dziedzińcu razem z Alathien i Varthanisem, w trójkę jako magowie nie mogliśmy wiele zdziałać. Czekaliśmy na wynik bitwy, a krzyki w kazamacie wzmagały się, normalne jak banda cesarskich wybija do nogi zakon Indry. W pewnym momencie głosy podskoczyły o ton wyżej co sugerowało dołączenie się nowych sił. Zakręciło mi sie w głowie. Znów usłyszałem w*

*głowie ten upiorny, syczący głos, jakby echo dalekiego rozkazu. Już chciałem posłuchać, stać się taki jak on, ale na to inny głos, jasny donośny zmiażdżył go i nakazał mi pozostać sobą. Posłuchałem czując władzę tego głosu i usiadłem z powrotem. Wiedziałem, że najwyższy wampir zwołał wszystkich wcześniej pogryzionych, a to co słyszałem to był mentalny przekaz. Na szczęście zbyt cichy, abym mógł posłuchać. Na szczęście, bo niewątpliwie przejąłby nade mną kontrolę, a odczuwałem, że bariera antymagiczna słabnie z każdą sekundą. W końcu wychyliła się głowa Sigmara.*
*-Abel! Chodź tu!*
*Co ja pies jestem?*
*-A o co chodzi?-zapytałem wstając.*
*-Nie pytaj, chodź.*
*Poszedłem. W powietrzu wisiał zapach spalenizny.*
*-Abel?-po głosie poznałem Riena.-Mamy tu coś.*
*Nie musiałem patrzeć, po prostu czułem jego obecność, a on moją. Bał się i to śmiertelnie bał całej tej sytuacji. Zniknęła dawna pewność siebie, jej miejsce zajął strach.*
*-Co z nim zrobić?-zapytał szermierz.*
*-Najlepiej zabić. Shamaroth ma niezły egzorcyzm z tego co pamiętam.*
*Dalej poszło z górki. Wampir ogłuszony srebrem leżał spokojnie, a Sham recytował formułę. Zaśmierdziało, zapiszczało i wampir zapalił się.*
*-Zwijamy się!*
*Wyszedłem jako pierwszy czując się już dużo lepiej. Nie było tego głosu, nie było tego potwora. Zamierzam to dopisać do notatek jak tylko znajdę porządny inkaust. Dopiero kiedy wyszliśmy na dziedziniec przestało być tak różowo.*
*-Gdzie on...-pobladł chorąży*
*-Tylko nie mów...-wtrąciła gwardzistka.*
*-Zniknął! Zbiórka w szeregu.*
*Hodo szybko policzył oddział. Brakowało mu trzech osób.*
*-Kogo nie ma?*
*-Candice i Rigo poszli na zwiad-powiedziałem.*
*-Edric też.*
*-I Borys.*
*Już wiem w jaki sposób nie doliczono się mnie tej nocy.*
*-Dalej, gonić ich, nie mogą być daleko!*
*Żołnierze błyskawicznie przemierzyli fosę i w wielkich susach zbiegali na dół.*
*Draig-a-Hern był zrabowany!*

**********

*Ścigając bandytów nie czułem zmęczenia spowodowanego zdobywaniem wału, ani mentalną walką z wampirem. Czułem złość na samego siebie, że to ja ostatni widziałem ich wychodzących z komandorii. To ja zapytałem się ich gdzie idą i nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogli coś wziąć. Teraz biegłem za cesarskimi w kierunku Bramy Polowej. Kiedy dobiegliśmy nikogo nie było.*
*-Cholera-zaklął Hodo obracając się wokół.*
*-Nie myślałeś chyba, że będą tu stać?-zapytała gwardzistka poprawiając tarczę.*
*-Nie ja...*
*-Chorąży-zaczęła Mija-chciał tylko odreagować swoją frustrację, bo to on spieprzył sprawę. Ale nie ma się co martwić-dodała z uśmiechem-ktoś o takim sprycie jak pan chorąży niewątpliwie znajdzie rozwiązanie.*
*W głosie bardki było tyle cynizmu i złości, że mogłaby nimi utopić całe Góry Srebrzyste i pół Reagen. Ale oficer miał na głowie ważniejsze sprawy niż zalanie Reagen, przynajmniej w tej chwili.*
*-Varthanis!-mag wyszedł z tłumu-możesz odczytać pamięć miejsca?*
*-Móc mogę. Pytanie czy was na to stać-wyszczerzył się.*

*-Oj, daj spokój. Rozliczymy się jak odzyskamy artefakt.*
*Nekromanta wykonał kilka gestów zamruczał formułę i po chwili oznajmił.*
*-Wyczyścili pamięć.*
*Hodo zrobił pytający wyraz twarzy.*
*-Mieli Candice w grupie-zwróciłem uwagę.*
*-Kurde, faktycznie.*
*Szybko w szyku dwójkowym wróciliśmy do zajazdu. Po chwili odpoczynku i dołączeniu się Zomusa, przybysza ze Styrgradu, ruszyliśmy z powrotem na Bramę.*
*-Ktoś idzie-krzyknąłem wskazując drogę do zamku Silberberg. Niel i Yngvild wskoczyli na wał po obu stronach drogi, żeby odciąć drogę tej czwórce.*
*-W imieniu cesarza, stać!-krzyknął Hodo przybrawszy dostojny wyraz twarzy. Ze zmarszczonym czołem i poważną twarzą pozbawioną uśmiechu wyglądał co najmniej śmiesznie.*
*-Jesteśmy tylko kupcami-zaczęła kobieta.*
*-Pokażcie towary!*
*-Nie-sprzeciwił się jeden z mężczyzn.*
*-To jest cesarski rozkaz!*
*-Tu jest Reagen, a nie cesarstwo.-nawet pod iluzją można było wyłonić buntowniczy ton głosu Borysa.*
*-Panno Candice-zwróciłem się do kobiety-proszę oddać Pierścień Ognia.*
*-Jaki...-zaczęła i skończyła kiedy zobaczyła zawzięte twarze wojowników dookoła.*
*-A pan, panie Edricu nie będzie juz potrzebował amuletu alchemika, prawda?*
*-Może jednak będę musiał go użyć-zaczął-nikt nie wie.*
*-Racja, nikt nie wie, ale dlatego lepiej go wezmę.*
*-Jest, znalazł się-krzyknęła Yngvil w euforii.*
*-Świetnie, odstawimy was do placówki! Brać ich!-ostatni rozkaz krasnoluda był dość niezrozumiały zważywszy na to, że każdy ze złodziei miał co najmniej dwa ostrza przy gardle. Sprawy skomplikowała się na Bramie dopiero. Wtedy to psioniczka wyrwała się i zaczęła inkantację. I pewnie udałoby jej się sparaliżować nas gdyby nie szybka reakcja dwóch osób, które cięły ją i Shamarotha, który usiłował ogłuszyć jeszcze już umierającą kobietę. Natychmiast rzucił się do niej Borys, a Rigo korzystając z chwili zamieszania uciekł straży. Pobiegł za nim Dinim, ale daremnie. W międzyczasie Borys został zarznięty, a raczej popełnił samobójstwo na czyimś mieczu. Pozostał Edric wciąż trzymany przeze mnie. Ten został odeskortowany, a artefakt umieszczony w szkatułce.*
*-Shamarocie-zwróciłem sie do kapłana kiedy trochę uspokoiła się atmosfera-mam do ciebie prośbę.*
*-Słucham.*
*-Skrytobójca miał za zadanie znaleźć człowieka z niebieskim pierścieniem-pokazałem swój na palcu-i go zabić. Prawdopodobnie chodzi o tego, który był przyjacielem cesarza...*
*-Ale on nie żyje-wtrącił krasnolud.*
*-Mniejsza o to. On nie wie nic o wizerunku kobiety na pierścieniu.*
*-Rozumiem... chociaż nie do końca.*
*-Podpuść go, powiedz, że to ja mam ten pierścień, że to mnie miał zabić.*
*-I co wtedy?-zapytał.*
*-Co wtedy? Wtedy to ja naszego kolegę nauczę tańczyć w baardzo trudnych warunkach.*
*Kapłan uśmiechnął się na myśl co magia może zrobić z człowiekiem.*
*-W porządku-uśmiechnął się.-Daj mi trochę czasu.*
*Żyrownik szykował wielką, al przed nami robił wielką tajemnicę do samego końca. Wygrzebawszy resztki z hobbickiej spiżarni mieliśmy zapasy na najbliższe kilka tygodni. Przyglądałem im się jak wesoło rozmawiają, żartują, wspominają wspólne zwycięstwa i porażki. Nie powiem po raz kolejny, że więcej było porażek, ale cóż. Jaki kraj taka armia. Patrzyłem dalej. Mija z Kulbertem robili zawody na objętość ust: kto zmieści więcej czereśni na raz. Patrzyłem dalej. Shamaroth i Varthanis oblewali zwycięstwo nad zakonem, barbarzyńcami, banitami, deszczem, komarem w bucie kapłana i wieloma innymi powodami, które pozwalały wychylić kufel. Kilku miejscowych dosiadło się byleby pić. Hrabia Rasgalen pił zdrowie wszystkich po kolei poczynając od Miji i Riena, a koncząc na*

*zdrajcach. Sam szermierz lekko podchmielony patrzał groźnie po zebranych szukając okazji do bitki. Zomus spał w kącie, Sigmar popijał kolejną flaszkę. Illima zapadł w coś jakby trans nad kuflem piwa, wyglądał jakby się do niego modlił. Wtedy zagrał przed karczmą róg i do pomieszczenia wszedł cesarski sztandar.*
*-O cholera-pomyślałem patrząc na postać pojawiającą się w drzwiach-teraz to wpadłem.*
*Cesarza Styrii szło poznać na cesarską milę. Wysoki, potężnie zbudowany, o szlachetnych rysach miał w sobie to coś co porwało tysiące żołnierzy do walki. Jednak w tym momencie żołnierze byli tak zajęci opróżnianiem swoich misek, że nie rozpoznali swojego władcy. Schowałem pierścienie do sakwy, coby czasem nie skojarzono ich z poprzednimi właścicielami.*
*-Wstawać!-krzyknął w końcu jeden z oficerów.-Oto wasz władca, Jego wysokość...*
*-Bla bla bla sru tu tu-zamruczał Shamaroth pod nosem podczas gdy wojak wymieniał wszystkie tytuły Justyna IV.*
*-... Cesarz Justyn IV.*
*-To on żyje?-zapytało kilka osób.*
*-Tak żyję, a moja śmierć była pozorowana, aby uchronić się przed wrogami-tchórz-którzy chcieli mnie zgładzić,-i w dodatku słaby tchórz-ale jestem jak widać żywy.*
*-Ale szkoda-kontynuował podchmielony krasnolud.*
*-Przyszedłem tutaj, bo dowiedziałem się, że macie coś co do mnie należy.*
*Hodo wstał i podszedł z artefaktem i amuletem. Cesarz otworzył pudło zobaczywszy, że wszystko gr zwrócił sie do chorążego.*
*-Za twoje niewątpliwe zasługi dla cesarstwa zostajesz mianowany porucznikiem Straży Pogranicza.*
*-Przedstaw drużynę-poinstruował oficer. Tutaj nastąpiło wymienianie każdego z osobna z uwzględnieniem zasług każdej z osób. Hrabia został królem Reagen, Rien otrzymał pozwolenie na działalność, gwardzistka została przywrócona do służby, aż w końcu doszło do mnie. Cały czas usiłowałem powstrzymać krasnoluda, nakłonić go, aby ominął mnie przy wymienianiu.*
*-A to, Abel al Salif, mag z Chanatu, który na ten czas wspomagał nas.*
*-Cholera, cholera-zakląłem w myślach-co za cholerny dureń. Jak mnie za to zamkną to pierwszym będzie, który zginie.*
*Na szczęście cesarz miał więcej rzeczy na głowie tego dnia, bo w ogóle się mną nie zainteresował. Później jeszcze tylko Varthanis został magiem nadwornym króla Feina Rasgalena. Kiedy cała ceremonia dobiegła końca, przyszła kolej na tańce. Zauważyłem jedynie jak barda puszcza oko porucznikowi i juz chwilę później szaleli na środku sali. Ja sam nie przyłączyłem się tylko rozparłem na ławie i plecami oparłem sie o stół wpatrując się w tancerzy. Przy kontuarze stało kilka osób i biło rekord w piciu syropu klonowego. Parę minut później wszyscy rzygali wokół siebie. Wróciłem do tańczących, ale bardki i krasnoluda już nie było, musieli wyjść w międzyczasie. Ja natomiast wziąłem dwie pochodnie i służyłem jako kandelabr. Potem przeszedłem się po okolicy, długo rozmawiając z Moną na różne tematy, spotkaliśmy po drodze Miję i Hoda, którzy spacerowali i... no spacerowali. Po około godzinie poszliśmy do ogniska i tam razem z resztą śpiewaliśmy, a ja sam poszedłem spać o trzeciej warcie.*

**********

*Obudziły mnie wrzaski. Ktoś głośno śpiewał, ktoś inny krzyczał, jeszcze inny pijackim głosem oznajmiał, że nie będzie więcej pić. Usiadłem na łóżku, a to samo zrobił Varthanis i Sigmar.*
*-Co za gnoje mnie obudziły-zaczął nekromanta.*
*-Podejrzewam, że te same to mnie-wysilił się na dowcip barbarzyńca.*
*-Co robimy?-zapytałem.*
*-Jak to co?-uśmiechnął się mag.-Skopiemy parę dup!*
*Wyskoczyliśmy na nich w momencie kiedy przechodzili koło naszego namiotu. Kilku padło od razu, reszta po chwili brutalnie cięta po wszystkim. To pozwoliło reszcie wycofać się na z góry upatrzone pozycje i uciec. Reszta nocy przebiegła bez większych incydentów.*

*13 dzień Lammas*

*Nie ma sensu opisywać wszystkiego, starczy powiedzieć, że cesarscy opuścili ten region, a ja zostałem. Zostałem, bo mój misja nie była jeszcze skończona. Mija i Hodo długo się żegnali ze sobą, a ostatecznie i tak pojechali razem do Styrgradu. Reszta w tym gwardzistka rozjechali się w najróżniejsze części świata. Pozostawiali tu wszystko, przyjaciół, barwy, zabitych wrogów, strach i upadłe ambicje. Zostawiali to wszystko, aby stać się nowymi ludźmi. Długo patrzyłem na nich jak nikną za drzewami na zachodzie, jak kilkoro z nich macha mi na pożegnanie. Rozmawiałem jeszcze z Moną, próbowałem nakłonić ją do pozostania w "celach naukowych", ale odmówiła. Chciała jak najszybciej wrócić do domu do Styrgradu i odpocząć u siebie. Kolumna piechurów odchodziła w dal...*